# WIENIEC

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnej barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

## Rok drugi, Tom VII.

MIESIĄC PAŹDZIERNIK

WARSZAWA

1840.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.*

W dowod szacunku ofiaruje [illegible] [illegible]
Wincenty [illegible]

# POETA

*Dytyramb.*

I.

Przyłożył usta do ust — i lepiankę gliny,
   Owionęło Boskie tchnienie.
On tchnął — i wzdęły już piersi dzieciny
   Silnéj miłości płomienie.
Zadrzało serce życiem, i zawrzała w ciele krew,
   A dziecię jako członek nowy,
   Wszechświata wielkiéj liry,
   Zabrzmiało dla Jehowy,
   Dziękczynny śpiew.

Śpiew odklasnęły niebieskie safiry,
    I miljon aniołów skłoniło już głowy:
Dziecku wtórzą Cheruby,
    Serafy w złote bijąc skrzydła,
Wonne roznoszą kadzidła,
    Jak gdyby nowemi dziś śluby,
Miłość niebo z światem powiązała;
Jak gdyby dziś ziemia, młoda znów cała,
    Z czystych swych cieśni,
    Stworzenia piesni,
Stwórcy śpiewała.

II.

Skinął — i anioł z pucharu,
    Puścił na głowę dzieciny,
Płomień Boskiego nektaru.
    Wielkie ciemności krainy,
Oto już się palą,
Ognistą jego falą,
    A kropelka każda płonie,
Gorącością czystéj wiary,
    Każda wysłała się w łonie,
Mądrości Boskiéj czary.

Każda światem ideału,
Wsiąka w dziecka głowinę,
Ono zwiedza po mału,
Mądrości krainę.
W światów mirjady zagląda,
I mirjada światów cała
W jego duszy się przegląda,
Dziecię nowym ogniem pała,
Już, już żyje, już, już nie śni,
Ciągle nowe śpiewa pieśni,
A w każdem krwi uderzeniu,
Przy najmniejszym serca tętnie,
W miłości czystéj płomieniu,
Gore namiętnie.

## VIII.

Przemówił Jehowa, zatrzęsły się światy.
„Człowiecze! dla ziemi, stworzyłem ja ciebie
Idź i błądź tam, między bytem a nicością,
Spotkasz wiele cierni, bardzo rzadko kwiaty,
Jeżeli potrafisz się rządzić miłością,
Możesz być w niebie.

IV.

I wyszła dziecina, i oczy rozwarła,
Lecz rozum dzieciny jak pączek grudniowy;
A w sercu i czucie i miłość umarła.
Łza powitała świat nowy,
Okiem spłakanem spojrzała przed siebie,
I ciągle łezka, w oku się jéj kręci:
O biedna! z jéj pamięci,
Ubiegło już dawno marzenie o niebie....

V.

Rodzina,, czeladź, przyjaciele,
Stanęli około dziecięcia,
Z objęć w objęcia,
Podają je koleją,
Na twarzach im wesele,
Odbija swoje piętno,
Oni się nadzieją
Cieszą ponętną,

Berła, korony, podają dziecinie,
Ona nie wie, — z oczu jej łza płynie.

VI.

Rychło, przebiegły miesiące i lata,
Dziecko wyrosło w chłopczyka,
Chłopczyk rajskie malowidła,
Wyobraźni, w świat ten wplata,
Ale duchem w raj nie wnika,
Bo sam rajem.
Z złożonemi rączkami,
Z wzniesionemi oczami,
Stoi na progu kościoła,
A młodéj wiary skrzydła,
Unoszą go z padoła.
Na stopniach klęcząc ołtarzy,
Jak seraf kadzidłem wieje,
Do nieba wciąż się śmieje,
O niebie tylko marzy.

VII.

Chłopczyk wyrosł w młodziana — pogląda przed siebie.

W koło mu się ziemia śmieje,
W koło złote lśnią nadzieje,
Przeszłość jak motyl z daleka,
Z kwiatów przelata na kwiaty,
Przyszłość się w róże obleka,
Róże mu mnożą się z łaty.
Młodzian zapomniał o niebie,
Myślą jak teleskopem zagląda na słońca,
Liczy gwiazdy na mirjady,
I sam jak gwiazda już świecąca,
Lata po wiecznéj krainach zagłady,
Po głuchéj świata bezdeni,
I bezdeń mu się promieni.
Płoną światy wielkim stosem,
Płoną jak wielkie ruiny,
Warownych niegdyś grodów,
Jak szczątki wielkich narodów,
W Lety ciśnionych głębiny.
Jemu jeszcze świat chaosem!...

VIII.

Spojrzała dziewczyna, — dziewczyny spojrzenie;

Obudziło pieśń w nim nową,
Jakby czarodziejskie słowo,
Wprawiło struny jego duszy
W harmonijne brzmienie,
Umysł obwiły płomienie,
I echo katuszy
Posłyszała jego głowa.
On poczuł całą dzielność słowa
Chwycił teorban do ręki,
Nieznane wydobył zeń dźwięki,
I przy dźwiękach teorbanu,
Ziemię porzucił, a zbratał się z niebem,
Z rajskiego wodę pił Jordanu
Niebieskim karmił się chlebem,
I ogrom heroglyfów już mu nie był stosem;
On czytał w czcionkach światów i rządził chaosem.

On był cherubem ziemi,
A w jakie on uderzył tony,
Tony takiemi
Człowiecze duchy drżały.
Patrzcie!.. dotknął liry, i wszechświatu trony.

Złamały czoła,
I słychać dokoła,
Jedną, ogromną pieśń chwały.
Miłość wszystko ogarnęła,
Miłością świat ten płonie.
Jak w czystych falach stworzenia.
Skąpana w stokach ideału
Ziemia — po długim skonie
Już zmartwychwstała,
Iskrami zapału,
Dziewiczym ogniem pała;
I wspaniałe wielkie pienia,
Pieśni stworzenia
Przedźwięknęła.

## IX.

Przebiegły znowu dnie i lata,
Młodzian zamknięty jedynie sam w sobie,
Na świecie, jak gdyby nie z świata,
Nie ma lubéj, przyjaciela;
Ani nikt z nim nie podziela,
Ni wesela, ni katuszy,
On sam na świecie jak w grobie.
On poetą — w duszy

On jak wulkan — nad brzeg wulkanu,
Błądzi ciekawy przechodzień,
I próżno z góry zestępuje codzień,
Zajrzeć w głąb się lęka.
Nareszcie się ośmiela — już na skale klęka;
Spuszcza w bezdeń zrenicę,
I dwie oczu błyskawice,
Spadają w pierś topieli.....
Lecą — lecą — na pół drogi zwisły,
Pobladły, taka przepaść; sczerniały i prysły..
Wędrowiec musi odejść nie znając wulkanu,
I z lawy tylko którą on wywieje,
Z kłębów kurzawy i dymów tumanu,
Pisze jego dzieje.....
Tak tylko z karłów, co na papier spycha,
Z słów co już wpoły zamarły,
Znają ludzie młodzieńca.
Oni go chwalą, — on wzdycha,
Nikczemnie depcze karły,
I oczyma potępieńca,
Wodzi po ludziach, po świecie;
Jak morska perła, śród zmąconych fali,
Wala się w czerni,
I czerń go dzieli liśćmi cierniowego wieńca

Smieje się z żali,
Szkoda młodzieńca...

X.

Zawrzała dzika wojna, powstały narody,
Cichym krokiem, z dzidą w ręku,
Jak zbrojne olbrzymy podeszły do nieba
I miljon jęków w jednym ozwało s
jęku,
Ruina ludzi, i ogromne grody,
W wnętrznościach swoich grzebie,
I ziemię nowa krwawi rana...
Nie gonię młodziana.

XI.

Gdzie szafir niebios chmurą nie
ćmniony,

Puszcza źrenice do Edeńskich głębi;
Kędy pod jezdcem koń nieznużony,
Falmi spiekłych piasków kłębi,
Widziałem męża. — Wsparty o świątyni
szczątki,
Czoło zwrócił w niebiosy,
I w kraju przeszłości, źrenice bez rosy,
Scigał pamiątki,
Koń jego rżał w oddali,
Skacząc po kwiatach oazu,
Jak po złotéj fali.
On nań nie spojrzał ni razu,
Przychodzień z obcej ziemi
On jakby sęp pustyni,
Od najpierwszgo zarania,
Dopóki mrok wieczorny ziemi nie zaciemi
Po płowych piaskach się słania,
Snać wewnątrz straszne palą go wspo-
mnienia,
Bo czołu, téj skazówce podpiersiowéj
burzy,
Nie da tęczy odcienia,
Zawsze trzyma zmarszczonę i zawsze je
chmurzy,

On wyrzekł się i uciech, i roskoszy
życia,
Jemu boleścią się serce rozdarło,
Ze świata, jak okręt z rozbicia,
Uniósł — nadzieję umarłą.
Tu w pustyni zrzucił ciernia wieniec.
Sam jątrzy i zagaja swoje rany,
On jenjusz — śpiewak duszy — świata po-
tępieniec.

XII.

I długo, długo dzicy Beduini,
Widzieli go jednego, na jednéj pustyni,
Jak kąpiąc się w piaszczanéj fali,
Przed ich wzrokiem, ginął w dali...

Jednak — mówią — wrócił do rodzinnéj
ziemi

A gdy znalazł same groby,
Nieznany pomiędzy swojemi,
Włożył sukienkę żałoby.
Gdzie kochał, gdzie marzył, gdzie biegał chłopczykiem,
Zkąd świat napełnił sławą, zmarł tam zakonnikiem.

B. Korab

# NASZYJNIK

Było to wroku 1726. John Andrew Gordier młody bogaty mieszkaniec wyspy Jersej, dniem przed swemi zaślubinami niepojętym sposobem znikł. Wszelkie poszukiwania ze strony rodziców i przyjaciół jego, tudzież niepocieszonéj narzeczonéj, zostały bezskutecznemi i żaden

najmniejszy ślad zgonu ani pobytu znikłego nie został odkryty.

Już wszyscy zrzekli się nadziei dowiedzenia się czego bądź o szczegółach téj bolesnéj straty, kiedy przypadkiem ciało jego znalezione zostało w Guernsey, przez ludzi przepływających małą zatokę. Gwałtownie wciśnięte w wydrązenie skały ciało, okazywało mnóstwo śmiertelnych ran, które niewątpliwem czyniły spełnione na nim morderstwo.

To odkrycie odświeżyło boleść jego krewnych, z ponowioną gorliwością rozpoczęto na nowo poszukiwania, ale te zostały tak bezowocnemi jak poprzednie; żaden domysł, żaden znak obudzający podejrzenie, nie dozwolił odgadnąć zabójcy. Musiano poprzestać na oddaniu ostatniéj czci zwłokom nieszczęśliwego przez uroczysty pogrzeb, wpośród wyrazeń najszczerszego smutku. Najsilniéj uczuwały go narzeczona i matka nieszczęśliwego Johna. Nic nie mogło pocieszyć ich po stracie jego, tém bardziéj gdy odkryto okropny sposób jakim został pozba-

wiony życia. Zdawało się że czas nie udzielał balsamu ich ranom i jakkolwiek silili się rodzice do skłonienia Jenny do zawarcia innych związków, ona nie chciała ani słyszeć o tem, postanowiwszy nie złamać wiary którą zmarłemu poprzysięgła.

To czułe głębokie przywiązanie podwoiło miłość jaką matka Johna jeszcze za życia jego czuła dla swojéj przyszłéj synowéj, i dawała jéj teraz najwyraźniejsze tego uczucie dowody.

Kilka lat upłynęło, kiedy pani Gordier przestraszona doniesieniem o niebezpiecznéj słabości swojéj ukochanéj przybranéj córki, udała się do Guernsey aby przy łożu boleści drogiéj istoty pełnić obowiązki czułéj matki.

W towarzystwie swego brata i młodszego syna, udała się do rodziców Jenny i chciała zaraz widzieć słabą, ale ta znajdowała się w tak krytycznym stanie że lekarz kazał ją pierwéj usposobić do tych odwiedzin, które mimo to nadzwyczaj silnie działały na duszę choréj. Jenny, osłabiona na widok matki swego nieszczęśliwego narzeczonego ze-

mdlała, i z wielkim trudem zdołano ją przywrócić do przytomności.

Pani Gordier była kobietą prędką i nie dość umiała panować nad swemi uczuciami, i dla tego nie rozmyśliła jakie wstrząśnienie w duszy słabej sprawić może wspomnienie biednego Johna, które zrazu zdawało się łagodzić cierpienia Jenny. Chociaż ciągle przerywając sobie dla braku sił, Jenny mówiła z rozkoszą o czułem pożegnaniu przy ostatniem widzeniu się z narzeczonym, o tęsknocie z jaką jego powrotu oczekiwała, a równie z nią wzruszona matka Johna, zapomniała zupełnie, że rozdziera ostatnie słabe nici życia istoty która dla jéj macierzyńskiego serca tak była drogą.

Ale nagle cicha boleść pani Gordier zmieniła się w głośny płacz. Kosztowny naszyjnik z korali z djamentową spinką postrzeżony na toalecie choréj, a który John kupił dla swojéj narzeczonéj przed wyjazdem z domu, dał powód do wybuchu, po którym drugi jeszcze bardziéj wstrząsający nastąpił. Zaledwie bowiem Jenny zrozumiała z słów pani Gordier, iż ten

naszyjnik był kupiony dla niéj przez jéj narzeczonego, padła na ręce swoich krewnych dotknięta atakiem nerwowym i wymówiwszy tylko jeden wyraz „ *Komisant* “ wyzionęła duszę...

Ta śmierć któréj tak dziwne okoliczności towarzyszyły, miała coś okropnie tajemniczego. Osłupiałe oczy obecnych, w pierwszéj chwili nie napełniły się łzami, ich nieruchome, zamknięte usta, zdawały się być ściśnionemi przerażeniem. Nakoniec starano się przywrócić Jenny do życia. Te usiłowania były bezowocznemi, i znowu powróciła złowroga cisza w pokoju umarłej.

W pośród tego przykrego milczenia szatan okropnego podejrzenia wkradł się w serce pani Gordier, zapomniała ona wszystkich cnot zmarłéj, z ust jej wyszły wyrażenia oskarżające Jenny, że wiedziała o mordercy Johna i może nawet była z nim w związku. Te nierozważne słowa, plamiące pamięć zgasłéj, któréj cnotliwe życie powszechnie było wielbionem, tak bardzo obraziły krewnych jéj, że tylko pośrednictwo przyjaciół przeszkodziło zupełnemu

zerwaniu między osobami które przed chwilą najtkliwsza miłość łączyła.

Tymczasem młody Gordier, przypomniał sobie iż brat jego przed wyjazdem powiedział iż naszyjnik ten odda swojéj oblubienicy dopiero po ślubie. Dzień ten nie zabłysnął wcale dla niego, a jednak ten klejnot znajdował się w posiadaniu Jenny. Ona mogła być niewinną, ale i podejrzenie pani Gordier zasługiwało na przebaczenie. Nakoniec siostra Jenny wyjaśniła tę rzecz. „Naszyjnik ten, powiedziała ona nie był podarunkiem Johna, i Jenny otrzymała go może w dwa lata po jego śmierci, od pana Gaillard, który daremnie starał sie o jéj rękę, chociaż był majętnym, przyjemnym i szanowanym mlodzieńcem, i rodzice Jenny sprzyjali mu. Naszyjniki tego rodzaju mogą być wyrabiane fabrycznie i bez wątpienia ten który siostra moja otrzymała od pana Gaillard, nie jest tym samym który dla niéj biedny John przeznaczył.

Przez czas téj mowy matka Johna odzyskała spokojność. Z łzami w oczach błagała obrażoną rodzinę o przebaczenie swojéj gwałto-

wności. Przytem dodała że łatwo będzie przekonać się czy ten naszyjnik jest tym samym, który jéj syn miał ofiarować swojéj żonie, gdyż w takim razie zapinka jego powinna zawierać jego miniaturę.

Ani siostra, ani krewni Jenny, nie wiedzieli co znajduje się w zapince naszyjnika. Wpośród najniecierpliwszego oczekiwania obecnych brat nieboszczyka przycisnął ledwie dojrzaną sprężynkę w zapince i bogato djamentami obsadzona miniatura Johna, błysnęła przed oczami zadziwionych. To ważne odkrycie zmięszało wszystkich. Nikt już nie wątpił że nagły domysł kto jest mordercą Johna, przyśpieszył zgon Jenny, a wyraz *Komisant*, który był ostatnim jéj wyrazem, okropne rzucił podejrzenie na pana Gaillard bo tenże poprzednio był komisantem w banku ojca Jenny...

Przywołany podeszły przyjaciel rodziny, który później całe to zdarzenie opisał, użył całéj siły wymowy, aby uspokoić umysły oskarżających głosno pana Gaillard o morderstwo i aby skłonić ich do umiarkowanego postępowania w téj tak zawikłanéj sprawie.

— Tysiączne okoliczności, rzekł on, mogą na zupełnie niewinnego rzucić pozór winy, kiedy tymczasem istotny zbrodniarz pozostaje nie tknięty pod zasłoną sprzyjających wypadków, i wtedy dopiero przez sumienie skłonionym bywa do wyznania swéj zbrodni, kiedy już inna niewinna ofiara fizycznie lub moralnie za nią cierpiała.

Spodziewał on się że na cześć ludzkości człowiek który dotychczas uchodził za zupełnie poczciwego i nieskalanego, nie mógł popełnić tak okropnego czynu o jaki go chciano obwiniać. W tem przekonaniu żądał on aby pana Gaillard wezwano jako dzielącego powszechny smutek, nie zaś jako sprawcę tegoż. Tym sposobem podług jego zdania jeśli pan Gaillard jest niewinnym, jak on się spodziewał imie jego nie zostanie obrażone, a jeśliby na nieszczęście winnym się okazał, łatwo go będzie uwięzić, kiedy tymczasem dowiedziawszy się o odkryciu swego występku, mógłby się ucieczką ocalić od ręki sprawiedliwości.

Większa część obecnych zgodziła się z jego

zdaniem, tylko pani Gordier nie podzielała go, i w rysach jéj widać był wyraźnie że podejrzenie powstałe w jej duszy niezostało zniweczone jego wymową.

Tymczasem posłaniec który udał się do pana Gaillard powrócił z oświadczeniem, iż tenże wkrótce przybędzie. Istotnie pan Gaillard nie dał na siebie długo czekać, ale gdy wszedł, pani Gordier zapomniała wszelkich praw umiarkowania i puszczając wodze burzliwem podejrzeniu, przyjęła niedomyślającego się co go ma spotkać, piorunującém oskarżeniem że jéj syna zamordował.

Z zadziwiającą spokojnością odpowiedział Gaillard na to okropne oskarżenie. — Znałem wprawdzie syna pani, nawet na kilka dni przed niepojętém jego zniknieniem mówiłem z nim, ale bardzo wiele godnych wiary osób, wie że w czasie kiedy pan Gordier zniknł, ja wyjechawszy za interesami handlowemi, wcale nie byłem tutaj.

— A ten podarunek, zapytała matka Johna, pokazując naszyjnik z otwartą zapinką

i miniaturą Johna, ten podarunek jest przekonywającym dowodem twojéj zbrodni! Ten klejnot który syn mój miał przy sobie w dniu swojéj śmierci, dałeś jego narzeczonéj które zgon dziś opłakujemy.

— Nigdy nie widziałem tego naszyjnika an téj miniatury.

— Jakto, zawołała siostra zmarłéj, biorąc naszyjnik i zamykając zapinkę, czyż pan nie dałeś mojéj siostrze tego naszyjnika w dniu jéj mienin, w mojéj obecności. Czyliż nie pamiętasz pan jak wzbraniała się przyjąć ten podarunek i że tylko na moją prośbę z niechęcią go przyjęła.

— Temu wszystkiemu nie zaprzeczam, odpowiedział Gaillard spokojnie, i byłbym od razu poznał ten klejnot, gdybyście mi go państwo nie byli pokazali w postaci zmienionéj i zdolnéj zwieść moję pamięć. Nie wiedziałem zupełnie o portrecie który jest w zapince ukryty, ale może żyd Lewi od którego kupiłem ten klejnot, będzie mógł o nim dać jakieś objaśnienie.

To oświadczenie zaspokoiło przyjaciela któ-

y w téj sprawie występował jako pośrednik, i zwracając się do pani Gordier, rzekł on: — spodziewam się, że teraz będzie pani cierpliwie czekać dalszego postępu sprawy, ponieważ pan Gaillard na nazbyt pospieszne oskarżenie pani z spokojnością czystego sumienia jasno i dostatecznie odpowiedział, i poprowadził nas na ślad domyślnego zbrodniarza. Nie trudno będzie schwytać go, bo to jest żyd handlarz znany tu wszystkim.

Nieszczęśliwa matka ujrzała się jeszcze raz zmuszoną przyznać iż gwałtowność jéj charakeru spowodowała ją do obrażającego oskarżenia; zawstydzona, prosiła pana Gaillard o przebaczenie, ale ten w słowach swojéj odpowiedzi okazał, jak bardzo uczuł się obrażonym. To uczucie wybuchło w obfitych łzach kiedy go do łoża śmiertelnego nieszczęśliwéj Jenny poprowadzono. Jak bardzo kochał ją i jak głęboko bolał nad jéj stratą, o tem mogli się wszyscy z wyrażeń jego uczuć przekonać, i wśród téj wspólnej żałoby znikł wszelki cień podejrzenia, które się przeciw panu Gaillard wkradło w duszę pani Gordier.

Kilka dni przeszło nim można było uwięzić wymienionego przez pana Gaillard żyda, i gdy go uwięziono, oczekiwano z największą niecierpliwością jego zeznania. Podług przepisów sądowych potrzeba była do tego konfrontacji naocznéj z panem Gaillard, ale tenże na przesłane mu wezwanie nie stawił się, posłano do jego mieszkania i znaleziono go nieżywego, samobójczą dłonią odebrał sobie życie, zostawiając list w którym wyznał że gwałtowna miłość do Jenny, skłoniła go do zamordowania szczęśliwego rywala.

# POWRÓT WIOSNY.

Jak dzisiaj wszystko piękne jest w naturze,
 To uśmiech wiosny tak ją rozwesela,
A obłok strojny w błękitnym lazurze,
 Jeszcze jéj więcéj powabu udziela —

Ta luba cisza niczém nieprzerwana,
Chyba szczebiotem miluchnéj ptaszyny,
Co w taki sposób wielbi niebios Pana.
Za powrót wiosny i miłéj dziedziny —
Wszystko uśmiechu słodką cechę nosi,
Wszystko roskoszne — wszystko się raduje,
Mnie tylko uciech wiosna nie przynosi,
Bo myśl stęskniona powabu nie czuje.
Cóż mi po wiośnie, wszak i ja ją liczę
Wszak młodociane zwą się moje lata,
Kiedy zmartwienia z każdym dniem dziedziczę
A każdą chwilę smutek mi przeplata —
Nie dla mnie luby promyk słońca świeci,
Chociaż na chwilę lica wypogodzi,
Wnet ta chwilowa spokojność uleci,
Kielich goryczy nową boleść rodzi —
Któż mnie pocieszy w tak przykréj kolei,
Ty tylko Boże! — Ciebie błagam Panie!
Wszak kto cię wzywa, nie jest bez nadziei
Że jego prośba spełnioną zostanie —
Chciałem Cię błagać byś dni moje skrócił,
Przebacz — łza rzewna oko moje mroczy;

Bo dzień dzisiejszy tyle mnie zasmucił,
Iż pierś zbolałą robak cierpień toczy —
Odwróć nieszczęsną gwiazdę przeznaczenia,
Prowadź mnie Boże! pomyślniejszym torem,
Korne ci za to złożę dziękczynienia,
Boś Ty dobroci i litości wzorem.

# PRZYJACIELE DOMOWI.

## *Prawo sanny.*

### I.

Dyrektor Greiffenhorst powrócił był ze swojéj podróży, siedział teraz w swoim familijnym pokoju, i skończył powieść małych przygod wyznaniem iż jest mocno wzruszonym.

Troskliwie tuliła się Ottylja do łona ojc

swego, pani zaś Greiffenhorst najgrawała się z niego. — Oto wszystko co małżonek mój ma ze swoich zabiegów. Nie powtórzyłażem ja ci kilkakrotnie, iż wóz pocztowy wcale nie stosowny dla osoby twego stanu? — Ty jednakowoż nie chcesz słuchać, masz prawdziwą namiętność jeżdżenia incognito!

— Dla czego nie, rzekł z uśmiechem dobroduszny starzec.—W takiém incognito najłatwiéj i najpewniéj ludzi poznajemy. — Znakomite grona, są mi wszystkie zbyt poważne, albo za nudne, dla tego szukam innych towarzystw i mówię jak Jean Paul: „ Grube płotno więcéj ciepła dodaje, niż cienkie lub materja jedwabna; i gruba czarna mąka żytnia,pożywniejsza od białéj pszennéj. Zapewnie zrozumiesz i dobrze pojmiesz, iż przy moim sposobie podróżowania, o niejedném się dowiaduję, o czém nigdybym nawet ani pomyślił.

„ O, ty roztropny mężu, mów, co to za dziwaczne osoby były, których szukał wzrok twój wczoraj, tak przenikła odezwała się małżonka. — Był to mauvais sujet który cię grubijaństwem częstował i awanturnik którego

koszta podróży ty zapłacić musiałeś! Jak gdy-by takich osób nie wszędzie naleźć można, bez podróżowania dopiero w tym zamiarze po-cztą. — Niezliczone jest mnóstwo nieokrzesa-nychi nieobyczajnych, galanterją i obyczajność zaledwo jeszcze widać u szlachty, a obywa-tel zawsze się zdradza gminną otwartością ku damom, albo brytańskiem rozwolnieniem ku o-sobom wyższego stanu. — Na honor, to jest szkaradnie, osoba ta w dyliżansie....

„Hamuj twoję mowę, nie powinnaś źle o nim sądzić, drażniłem go pytaniami, a młodość jego uniewienia chwilową zapamiętałość— Zło-śliwym zapewnie nie był, cała jego istota na-tchnęłaby każdego miłością i zaufaniem, czułe się przywiązanym do jego szlachetnéj twarzy.

Szlachetne rysy twarzy? hm, hm, — więc był szachetnego urodzenia? to co innego. Dyrektor niecierpliwie tarł sobie ręce o kolano, i jego tak zawsze miła twarz przybrała się w zmarsz czki.—Rozkazał Otylji oddalić się i podnosząc się z krzesła, bliżéj przystąpił do swéj mał-

żonki i rzekł z przyciskiem: „Jestże szlachcic, mówię szlachetnie urodzony człowiek, stworzeniem lepszém, od drugiego, któremu rodzice jego będąc mieszczanami życie dali. — Jeźli mię kochasz uwolnji się od tak nikczemnych myśli, i wytrzyj nakoniec tę zadrzewiałą skazę twego serca. — Od lat kilku napróżno przezwyciężałem przesąd, któremu cała twoja dusza ulega, ty na nowo mię pobudzasz do tego.—Wstydź się, ucz się nareszcie poznawać prawdziwą godność człowieka nie z jego tytułów. Życzysz aby Ottylja została hrabiną, ja zaś przysięgam oddać ją jakiemu cnotliwemu obywatelowi, skoro tylko twojemi przodkami raz jeszcze pysznić się będziesz.

Uczucia Dyrektorowéj okazały się w maszynach hydraulicznych jéj oczów których upusty każdym razem się otwierały, kiedy małżonek pr e ciwko berłu kobiecemu powstał. — Lecz teraz wcale go to nie obchodziło, szybkim krokiem chodził po pokoju i wysysał gromadnie tłoczące się chmury ze swojéj piankowéj fajki.

Służący przerwał tę duszność powietrza i oznajmił przybycie p. Helzings. „Helzings!“ po-

wtórzył Dyrektor głosem przewlekanym, fajka wypadła mu z rąk, lecz wnet ją podniósł i do serca przycisnął. — Wzrok jego był zwrócony ku niebu, twarz wyjaśniała, wszelka myśl o sporze wytartą była już z jego duszy, a Dyrektorowa łzy jeszcze niepociesz...e ronił. Wnet dobry mąż się uspokoił, udał się do pracowni, gdzie zaraz w owym przybyłym gościu owego nieokrzesanego poznał współpodróżnego. — Młodzieniec zbladł i z zająkaniem ledwo zdołał wymówić kilka słów, przedstawiając siebie jako przy Kommissji Rządowéj umieszczonego, pokornie swemu nowemu Naczelnikowi się kłaniał. — Co raz bardziéj w swoich wymówkach się plątał i tak nareszcie się zmięszał, iż Dyrektor uważał za rzecz stosowniejszą téj rozmowie dać inny obrót.

—Pańskie imie jest *Gustaw*, pan masz jeszcze dwie siostry, a matka nie jest że urodzona de *Stecknaw*? zapytał go mile Dyrektor, uściskawszy mu rękę.

—Do usług, Panie Dyrektorze! odpowiedział młodzieniec, a tamten mówił daléj — „Z domu

Breittenhoff w Osnabrykskiém, czy nie tak? poszła za porucznika Helzings który w r. 1815 jako kapitan walczył?

—Jako major, odezwał się ze skromnością Helzings. — Przy Waterlo kula kartaczowa zabiła go, strapiona jego wdowa powróciła do Gettyngi gdzie pensję pobierała i...

—I od lat 10 już o kuzynie nie pamięta, którego los wasz jak najmocniéj obchodzi, zawołat Greifenhopst, i przycisnąwszy młodzieńca do swego łona, nie tylko go uwiadomił o bliskiém pokrewieństwie łączącem dwie rodziny Greiffenhorst i Stecnaw, ale mu także wyznał iż w młodości swéj matkę Gustawa namiętnie kochał, i wyrzec się jéj musiał z powodu że ojciec jego temu związkowi mocno się sprzeciwił. Rozmowa ich została przerwaną przybyciem panią Greiffenhorst i złota kędzierowata główka Ottylji wyjrzała ciekawie z kożucha sobolowego, a za nią zjawiła się mężna postać pięknego oficera kirassjerów, który wzrok swój już ku wdzięcznéj dziewczynie zwracał, już ku nieznajomemu bystro podnosił.

Kochany małżonku, rzekła dyrektorowa, po-

łożywszy ręce na ramionach Greiffenhorsta, nie zważając wcale na ukłon młodego Assesora.

Wiem już co mi powiedzieć chcesz, przerwał jéj dyrektor. Lecz dziś na żaden sposób towarzyszyć ci nie mogę. — Patrz, oto przybył miły gość, kuzyn Helzings, którego ci przedstawiam. — On tu pozostanie, w Kommissji będzie pracował, jesli mu w gronie naszéj familji podobać się będzie, wtedy wszystek czas wolny nam poświęci. Patrz, jest to Helzings, mój kuzyn, i najlepszy przyjaciel.

—De Helzings? zapytała się dyrektorowa.

—Assesor Helzings, odpowiedział tamten grożący wzrok swój ku niéj zwracając, a ona niechęć swoją tonem dumy świątowéj sztucznie ukrywając, wymówiła kilka słów grzeczności, pod czas kiedy Otylja mile rumieniąc się oczy swoje spuszczała, które z wzrokiem płomienistym Helzingsa się spotkały i oficer bardzo poważną minę przybrał.

Tutaj całą moją widzisz familję na jednym punkcie zgromadzoną, kochany mój Gustaw zaczął powtórnie Baron. „To moja małżon

ka, ta zaś trzpiotka, córka moja Ottylja, a ten wojownik nie jest wprawdzie członkiem familji, lecz jako wierny przyjaciel domowy ma wieczne prawo do naszéj miłości. — Hrabia Ansberg z Holkskiego półku kirassjerów, a tutaj na garnizonie—Spodziewam się że i wy wnet dobrémi przyjaciołmi będziecie.

Porucznik przedstawił się, uściskał serdecznie Assesorowi rękę i powitał go po przyjacielsku. —Lecz Gustaw nie słyszał już więcéj, jego myśli zajęte tylko były Ottylją,która stąpała żywo po pokoju i skubała kilkakrotnie za kołnierz futrzany matki,

Zadosyć uczynić muszę twojéj woli, w przeciwnym razie albowiem zginiesz od niecierpliwości, rzekła ta, ukłoniła się i znikła przez drzwi; oficer zaś podał pannie swoję rękę i po kilka chwilach widział Assesor obie damy z Ansbergiem w sanki wsiadające, przed któremi para okazałych rumaków w śniegu tupała. — W tém dzwonki dały się słyszeć, i szybkością błyskaskawicy sanki znikły.

Gustaw najchętniéj udałby się za niemi, lecz Dyrektor całą godzinę jeszcze go zatrzymał, cią-

gle chciał o matce jego słyszeć, i opowiadał mu już z dziejów familijnych, już o pracach Senatu, albo o osobliwościach miasta w którém przebywać miał. — Kończył zapewnieniem iż zawsze powinien z synowską poufałością do niego się udawać co dzień odwiedzić go, jednóm słowem stać się najserdeczniejszym jego przyjacielem.

W sercu Gustawa walczyły rozliczne uczucia, otrzymanie naczelnika który najłaskawszym mu się okazał i jego dobroczyńcą stać się chciał, zjawienie się dziewczyny nad którą piękniejszéj dotąd nie widział, stosunki w akich tam z nią być miał — wszystko to duszę jego tak zajmowało, iż o obojętnym ukłonie pani Greiffenhorst zupełnie zapomniał. — Z wynurzeniem najżywszéj wdzięczności oddalił się od swego dobroczyńcy.

Teraz śpieszył się przez ulicę oto właśnie postrzegł sanki w których siedziała dyrektorowa z wdzięczną Ottyliją. — Porucznik kierował konie, panna ku niemu się uchyliła, jéj niebieskie oczy z serdeczną radością były w przyjemnego

młodzieńca wlepione, usta jéj czarodziejsko się uśmiechały.

Ukłon Gustawa spostrzegł tylko oficer. — Gniewliwie zapuścił Gustaw kapelusz na twarz i kroki swe podwoił, lecz wszędzie prześladowała go postać pięknéj kuzynki i myśląc o prawie które dozwala młodemu człowiekowi powożącemu sanki, być tak blisko twarzy pięknéj podróżnéj, z niechęcią zawołał: O ten djabelski przyjaciel domowy.

# HULANKA.

## II.

Im bardziéj asessor z rodziną swego łaskawcy się zaznajamiał, tém łaskawszym był ów czcigodny mąż dla niego, i tém więcéj przyzwyczajał się do rozmaitych dziwactw Dyrektorowéj, któréj związek małżeński nie prawdziwa miłość zawarła. — Gustaw widział tę familją we wszelkich przygodach życia zawsze w je-

dnakowém położeniu, czasem towarzyszył jéj w znakomitych towarzystwach, chętniéj jednakowoż dzielił z Dyrektorem uciechy mniejszego grona które go otaczało, pomimo iż małżonce i córce to się nie podobało. — W nich to Gustaw przepędzał najmiléj chwile swego życia, lecz i do nich przyłączyło się czasem coś, co jak trucizna wnętrzności trawiło. — Ottylja okazywała się zawsze cnotliwą i łagodną dla niego, codziennego sąsiada mając przy stole, wiernego towarzysza przy wszelkich zabawach, i kiedy towarzyszył jéj wdzięcznemu głosowi na fortepjanie, lub gdy swój giętki głos z jéj głosem łączył, wtenczas zdawały się wszystkie jéj uczucia nim zajęte, lecz krótkie były te chwile które jemu poświęciła, podczas kiedy całe dnie jak najprzyjemniéj z hrabią przepędzała. — Ansberg był daleki od téj czułości, lecz chętnie grzał się w miłych promieniach słońca jéj oczów, znał ją dokładnie, i był bardzo szczerym dla niéj. — Często natarczywie spierał się z nią o to na czém jéj duma się gruntowała, wtedy przyjazny ich związek zda-

wał się być przerwanym, Otylja nie pytała się już więcéj, odwracała się od niego, i wtedy dopiero miła zorza się zjawiła, kiedy zapomniała o tém, o co gniewać się mogła.

Taka przemienna zabawa zatrudniała tak dziewczynę, jak i hrabiego, stała się zaś piekłem dla biednego Gustawa, który nie wiedział że rękę Otylji matka hrabiemu już była przyrzekła. — Często w odmęcie rozpaczy pogrążony powracał do swego pokoju, nie mógł być rozgniewanym na Ansberga, którego szczeréj przyjaźni już nie jeden dowód otrzymał, nie mógł również gniewać się na uprzejmą dziewczynę, lecz przeczucie o nieszczęściu opanowało go i jego słabe serce skrwawiło. — Przypadek zaprowadził go dnia pewnego do oberży; w sali ogrodowéj bawili się i śpiewali młodzieńcy przy wazie, nad którą hrabia Ansberg łyżkę podniósł. — Gustaw pozostał w przyległym pokoju, i podsłuchiwał się rozmowie, nie chcąc tego właściwie.

— „Po przyjaźni i miłości jest wino rzeczywistym niszczycielem trosków, — tak deklamo-

wał oficer, i podniosłszy swoją próżną szklankę ku hrabiemu, daléj mówi: „Dla tego daj mi jeszcze czwartą, w przeciwnym razie zostanę, tak jak ów rumak, który nierównemi stąpa, nogam wyznać muszę, iż dama którą czasami ubóstwiam, z ponurą mi się dziś miną przedstawiła. — To mię tak nieutulonym w żalu uczyniło...

— Rozumnie! odezwał się żartobliwie jakiś myśliwy; kto poda nić ażebyś nieuszkodzony wydostał się z labiryntu kotyljona? Kto wyczyści salę tańców twych własnych myśli miotłą krytyki?

— Nie troszcz się o to!— odezwał się towarzysz, przyjaciel nasz podda się najpowabniejszéj wdowie naszego wieku.

— Co? Konsyljarzowéj z czépkiem a la lu*dojad?

— Tak! zawołał wesoły huzar.

— Nigdy! to jest bryganțyna, dająca ze wszech stron ognia; zahaczyć się spodziewa, lecz niezawodnie się rozbije o skałę mego serca.

— Nie prawdaż Ansbergu? No gadajże, albo napełnij przynajmniéj szklanki.

— Ej, co tam, on sam zakochany, że nie wie na któréj nodze ma stanąć, odezwał się myśliwy, a przyjaciele jego radośnie zawołali, Vivat Ansberg!

To biednego Gustawa za nadto dotknęło, wstał z miejsca i powolnym krokiem wrócił do miasta. — Chętnie minąłby dom Dyrektora, lecz Ottylja z okna na niego skinęła. — Gniewała się na wchodzącego, że się spóźniał z przybyciem na herbatę, lecz zarazem go prosiła ażeby z nią *duet* z opery *Jessonda* rozpoczął.

— Mama odprawia wizyty, ojciec pisze, a zatém nikt nam nie przeszkadza, dodała — i otworzyła fortepian. — Gustaw musiał usiąść, długo nie mógł zebrać przytomności, aż nareszcie całe jego uczucie odezwało się w najczystszym tenorze. — Tony podnosiły się i spadały, serce Gustawa coraz mocniéj się rozczulało, a głos dziewczyny tém czulszym się stawał.

— „ Słodka dziewico, czy mię nienawidzieć będziesz “ śpiewał i oczy jego spoglądały z najczulszém wyrażeniem na Ottylją. — „ Mi-

ły młodzieńcze, me serce do ciebie należy odpowiedziała piękna śpiewaczka, nigdy jéj dusza tak wzruszoną jeszcze nie była.

Śpiew był ukończony, a Gustaw podniosłszy się z krzesła stanął jak wryty pogrążony w przypatrywaniu się nadobnéj dziewczynie, która w téj chwili bliżéj do okna przystąpiła.

Uroczysta cichość panowała w pokoju. — Ottylja czasami oczy swe podniosła, lecz znów lękliwie wzrok spuszczała, i wtenczas rumieniec wstydu okrywał jéj lice.

Będąc w walce jeszcze z własnemi uczuciami, rzekła: Panie Assesorze, bardzo miłe kwiaty wijesz pan w naszém życiu, a sam zawsze ponurym się wydajesz. Lecz to wcale niesłusznie, dla tego proszę, iżbyś zawsze takim był jakim jest pan Ansberg — on w istocie przykładnym jest towarzyszem.

—Nie umiem jeszcze w takim stopniu nad sobą panować, iżby walka mojéj duszy poznawaną być nie miała, odpowiedział Gustaw, le-

dwie wstrzymując namiętność.—Lecz wnet inaczéj będzie, rzucę się w zgiełk obcego świata, tam szukać pokoju będę, którego mi tu nieżyczliwy los odmawia. — Idę," i że twoją dobroć nie dla niewdzięcznego przetrwoniłaś, że nic spotkać cię nie może, czegobym ja z tobą serdecznie dzielić nie miał, o tém przynajmnié wtenczas się przekonasz, kiedy już igraszki życia więcéj cię nie znęcą, albo kiedy poznawszy świat jego ułudy, i porzucisz go i w siebie wrócisz.

— Pan chcesz się oddalić? — zapytała się Ottylja, to szkoda, jednakowoż jeżli pan uważasz za stosowniejsze, — to owszem.

Wtém wszedł właśnie Greiffenhorst do pokoju, prędko uchwyciła Otylja za rękę Assesora, przedstawiła go ojcu i uśmiechając się rzekła. Oto mój ojcze pan Gustaw ma ci cóś objawiać, co mu już dawno na sercu cięży; bądź tak łaskaw, i daj mu audjencją.

Gustaw stał boleśnie dotknięty, nie wiedząc co ma czynić, a tém mniéj co ma mówić, a jego posępne oczy już na ziemię, już na dzie-

czynę były obrócone, która przy stole stała, i nalewaniem herbaty zajętą była.

— Więc, kuzynie, zaczął Dyrektor z wesołą twarzą.

— Lęka się, nie chce ci tego mówić, jest to występny człowiek, zawołała okrutna dziewczyna. — Gustaw spoglądą na czcigodnego męża z oczyma, w których wszystkie uczucia wzruszonéj jego duszy się wyrażały i zająkliwym głosem wyraża swoją prośbę, iżby go w innym wydziale umieścić raczył.

To mnie dziwi, ale czy wolno mi się zapytać o przyczynę twego niemiłego mi oświadczenia? rzekł dyrektor, i Gustaw przytaczał różne powody, co jednak wszystko za przyczynę uważane być nie mogło.

—Prośba twoja nieprzyjęta, mój dawny przyjacielu, i na tém koniec,nie chcę już i słuchać.— Ottyljo podaj mu filiżankę herbaty! — Ottylja była posłuszną, i całując swojego kota powtórzyła głosem tryumfującym: Prośba twoja nie przyjęta, i na tém koniec!

# PRECJOZA.

## III.

Ottylja zasłania swe serce śmieszną maską; szeptała nadzieja, i uradowany Gustaw uśmiechnął się, odzyskawszy znów odwagę z jaką młodość do życia wraca. — Więcéj jak niegdyś bywając w małych kołach Greiffenhorskiéj familji, rozwinęła się jego uprzejmość i w wielkich towarzystwach, które pannę Ottylję ota-

czały, i w których jéj przyjaciołki Ludwika de Heimthal z próżną konsyljarzową Didelitz jako gwiazdy pierwszéj wielkości jaśniały. — Obie damy mocno się zajmowały pięknym młodzieńcem, który większą jak zwykle na nich zwracał uwagę. — Konsyljarzowa chwaliła go jako najrozsądniejszego człowieka, i starała się różnemi sztukami go do siebie przywiązać — Tak zawsze bywało — lecz jeśli panna Ludwika mniéj wdzięczną na grzeczności się okazywała, to Ottylja w tym względzie natrząsała się z niego, a zapalony miłością Gustaw uważał ją za zawistną. — Postępowania Ansberga nie zrozumiał, pomimo swych postrzeżeń; hrabianka zostawał zawsze tym samym, wtenczas nawet kie y dyrektorowa naumyślnie assessora zaniedbywała, dla wystawienia dawniejszego przyjaciela domowego w jaśniejszym świetle. Wilja urodzin Ottylji przez maskaradę obchodzoną być miała, i w tym celu rodzice jéj od dawnego już czasu wielkie czynili przygotowania; sale gustownie i wytwornie ozdobiali, i licznych gości zaprosili, assesor, który nigdy je-

szcze przy podobnejże uroczystości się nie znajdował, wszelkich używał sposobów dla dowiedzenia się, w jakim ubiorze Ottylja wystąpi, i nie jednéj chwycił się intrygi, dla przywiedzenia do rozmowy panny Ludwiki lub hrabiego, którzy z tą tajemnicą obeznanemi byli, — lecz gdy wszelkie jego usiłowania próżnemi były, wybrał dla siebie najlichszą odzież pustelnika i maskę z brodą i postanowił wcale niepostrzeżony być przytomnym téj uroczystości. — Lecz to się nie stało. — Bo ledwie wszedł do jasno oświeconéj, głośno brzmiącéj sali, kiedy cała gromada błaznów, sabaudczyków, i innych wesołych ptaszków otoczyła go serdecznie się natrząsając z tego tak szanownego gościa i nie przestawała go drażnić i wszędzie go prześladować, gdzie przytułek spodziewał się znaleźć. — Te dla innych osób żartobliwe postacie zdawały się strasznemi duchami Gustawowi, czuł się przeszytym od tych iskrzących się oczów, które z odrętwiałych rysów maski się wydzierały. — To mieszało go, coraz mniéj stosował się do roli, ja-

ką ubiór mu przepisywał, i którą przy wejściu do sali tak dokładnie odgrywał. — Nareszcie odstąpiły te potwory, przy zjawieniu się Tyrolki, która biednego przestraszonego pustelnika wzięła za rękę i od zaczepek prześladowców uwolniła, a różnemi obrotami od nacisku ludu wyprowadziwszy, do okna firankami zasłonionego z nim przystąpiła.

— Mam ci coś powierzyć szanowny panie tak szepnęła w dyalekcie swéj ojczyzny i schyliła główkę, z któréj plecionka pięknych włosów na kształtną kibić spadała.

— W tobie panie mam zaufanie, tobie samemu wyznać mogę, czem cała moja zajmuje się dusza.

Pustelnik ledwie oddychał, ucieszył się jednakowoż spoglądając na piękną tyrolkę. Te żywe lica, które zachwycający owal tworzyły, te oczy, z których światło pobożnéj miłości błyszczało, o! to tylko oczy Ottylji być mogły — Gustaw poznał swą kochankę mimo maski z czarnego axamitu, która twarz jéj w połowie pokrywała.

— Mnie kocha młodzieniec, najpiękniejszy,

najcnotliwszy naszéj doliny, tego mi wprawdzie nie wyjawił, lecz okazał, a dotąd odpowiedzi mu nie dawałam. — To mię mocno trapi, lecz tu napisane co w sercu czuję, i dla tego życzę iżby się jak najprędzéj o tém dowiedział. Tak mówiła cichym skromnym głosem i wyjąwszy karmelek z koszyczka wcisnęła w go rękę pustelnika.

Gustaw mniemał się być w raju, zachwycenie pozbawiło go przytomności i mowy, zapomniał o świecie, rozpostarł ramiona...

— To pod surową zakazane karą, ojcze Cyrylu! i gdybym ja był opatem, srogo musiałbyś za to odpokutować!—rozległ się głos w pokoju, i ręka jakiegoś Kacyka leżała na ramionach Gustawa. — Zapominasz o sobie! miasto dawania nam z siebie przykładu, jak pycha nawróconą być ma na pokorę, się, bawisz się sercami pięknych dziewczyn. — O! biada temu kacerzowi grzesznemu, temu szkaradnemu wilkowi w owczéj skórze!

Gustaw znowu był zmieszany. — Tyrolka musiała go wyręczyć odpowiedzią, lecz zaledwo przemawiać zaczęła: — Najpotężniejszy, najłaskawszy Królu i panie! aż oto piórami strusia

bogato złotem pokryta głowa księcia Afrykańskiego, grzecznie skłoniła się i rzekła! Wdzięczna dziewico! Piękność wszędzie w swém państwie! rozkaż co chcesz, i przekonaj się, że jeżeli nie uległym ci niewolnikiem, jednakże każdego czasu wiernym poddanym ci będę, który to szanować umie co kocha. Tyrolka z uśmiechem oparła się na ramionach czarnego Księcia i odbiegła z nim w wirze szybkieéj galopady.

Ottyljo! jęczał strapiony pustelnik, rękę swoją położywszy na sercu. Ów od tyrolki otrzymany karmelek upadł na ziemię. Gustaw go podniósł i przeczytał wiersz.

Ty mniemasz, iż cię kochać jestem zniewolona,
Nie! ta myśl zawsze ode mnie oddalona.

Głęboko był obrażony, mniemał iż ulegnie w gniewie i boleści. — Serce jego było napełnione szczęściem, — i nagle widział się być wyszydzonym.—Wszelkie przyjemne marzenia o pomyślności ciemne teraz chmury pokrywały.

— Ottyljo! jęczał.—Czy podobna, czyś ty tak okrutnie najgrawać się ze mnie mogła. — Ty! ty? Jakże mogła się w twoim umyśle ukazać tak ponura ciemność przy najprzyjemniejszych kolorach zbawiennéj nadziei! —Jakżeś zdołała z zachwycającą wdzięcznością ku mnie się nachylać, nagle mię odpychasz i mną gardzisz, i wszystkie twe anielskie wdzięki murzynowi poświęcasz.

Nie zdołał poskromić swych myśli i zwalczyć wewnętrznego poruszenia.

Teraz był przekonany, iż tamten Król murzynów jest Ansbergiem, a owa Tyrolka Ottylją.

Strapiony Gustaw oddalił się od okna i wstąpił do sali. — Tyrolka siedziała przy bufecie gdzie jakiś Pantalon ją szampanem częstował, a Król Murzynów do orszaku bogatéj Polki się przyłączał.

Wtém podwoje się otwarły, orkiestra zaczęła marsz, i do sali wcisnęła się gromada cyganów, w środku niosąc na krześle Precjozę, przy boku zaś szedł dowódca długo brody

i Wiarda.—Ostatnia zdawała się trochę chromać, i z tego właśnie poznał Gustaw gospodynią domu. — Teraz lepiéj zrobiło mu się na sercu i światło mu zajaśniało. — Nie ową tyrolkę, lecz tą Precjozą Ottylja być musiała. — Do kogóż innego, jeżeli nie do niéj dumna dyrektorowa by się przyłączyła?

A ów okazały kapitan — to niezawodnie Ansberg, tak assesor w sercu myślał i wyśmiewał siebie samego. — Wtém podniosła się Precjoza z krzesła, cyganie koło niéj się grupowali, i rozpoczął się taniec odznaczający się nietylko dowcipnemi obrotami, ale przy którym Ottylja wszystkie swe rozwinęła wdzięki i w nadludzkiéj prawie postaci się ukazała; gustownie dobrany ubiór odpowiadał téj szlachetnéj postawie — jéj nogi zaledwo dotykały kobierca, pełne żądzy podnosiły się jéj ramiona, a Kapitan zdawał się swym sztucznym tańcem jeszcze podnijać serce téj niebieskiéj dziewicy.

Gustaw przeklinał zazdrość która go pożerała, lecz wnet uczuł powiększające się cierpienia

Gustaw przeklinał zazdrość, która nim miotała, lecz najokropniejszych doznawał cierpień gdy taniec się skończył, muzyka ustała, i wszyscy zaczęli się cisnąć do cyganeczki, aby ją okryć pochwałami. Po dowcipném wróżeniu wszystkim, którzy jéj dłoń podawali, Precjoza zwróciła uwagę swoich czcicieli na Wijardę, wymknęła się z sali.

Oczy Gustawa ciągle ją śledziły, teraz cisnął się przez tłum masek, biegł ku drzwiom, nie zważając, co się w około niego dzieje, nie patrząc na dziewicę Orleańską, którą w pędzie wywrócił na stół, tak, że butelki, które na nim stały, na miazgę się rozbiły.

Dopiero w czwartym, zupełnie samotnym pokoju zastał Precjozę; siedziała na sofie, jak się zdawało znużona tańcem. Na widok jego zlękła się, lecz wnet przyszła do siebie, gdy on mówić zaczął:

— W około brzmią śpiewy radosne — wszyscy się weselą, tylko Precjoza samotnie siedzi, w smutku pogrążona, i....

Drżącym głosem przerwała Ottylja:

„Lecz się znagła mieni los,
I z obcych pól,
Ozwał się przyjaźni głos!
I ustał ból!....“

— O aniele z nieba! zawołał Gustaw, i czcią przejęty rzucił się do nóg lubéj dziewczyny, która z niewymownym wdziękiem nachyliła się nad nim, mówiąc ledwie dosłyszanym głosem:

— Wstań Gustawie, miéj litość nad sercem, które nie mogło się oprzéć zbyt silnym uczuciom! Tak jest, kocham cię; w tobie łączy się to, o czém Precjoza w lubych snach marzyła, gdybym z pewnością wierzyć mogła, że żadna inna...

— O tylko ty, ty jedna aniele, klejnocie mojéj duszy! — tak przysięgał pustelnik z zapałem.

Wtém nagle porwał go barczysty książę murzynów, a Wijarda zawołała:

— Pójdź Precjoziu, pójdź! już trzy razy starszy dał znak, a horda czeka na ciebie!

Ale Precjoza nie słuchała; w lubém omdleniu leżała na sofie, maska spadła z twarzy...

biada! to nie była Ottylja, to była pani konsyljarzowa Didelitz!

— Pan pustelnik złapał się! zawołała szyderczo Wijarda, i pospieszyła omdlałéj wdówce na pomoc.

— Precz ztąd, precz! Co Ansberg zdoła dla ciebie uczynić, to niezawodnie uczyni, daję na to słowo honoru! — szepnął starszy cyganów, popychając nieszczęśliwego asessora ku drzwiom.

— Szanowny panie pustelniku, duża filiżanka Dyrektora jest zdruzgotaną, boś takim pędem przeleciał przez gabinet, a serce dziewicy Orleańskiéj jest rozdarte, bo ciekawa Ottylka posłuchała tu troszkę u drzwi! — tak żaliła się przybiegająca Tyrolka; ale po nieudanym już głosie Gustaw aż nazbyt wyraźnie poznał pannę Heimthal.

— Dziś mnie szatan opętał! zawołał Gustaw prawie obłąkany, wypadł na ulicę, a potém pędem pobiegł do swego mieszkania, gdzie ścigany zgrają szydzących zeń furji, padł wycieńczony na krzesło.

# ZARĘCZYNY.

## IV.

Wśród odgłosu trąb odzywało się mnóstwo głosów, ciężkie wozy toczyły się po bruku, i w pojedynczych ponurych uderzeniach odzywał się dzwon na gwałt bijący. — „ U dyrektora! „ zawołnł gospodarz, zaglądając do pokoju, i Gustaw wybiegł w pędzie. Olbrzymią siłą

torował sobie drogę przez tłum ludzi, i rozpychając ich na prawo i na lewo, biegł ku domowi Greiffenhorstów.

Gęste kłęby dymu wznosiły się nad domem, przerzynane płomieniami, które okropne światło rzucały na domy sąsiednie. Ogień buchał z okien pierwszego piętra, i zajął już wschody, rożnobarwny tłum gaszących i ratujących tłoczył się na wszystkie strony, sąsiedzi, lokaje, a między niemi jeszcze wielu na redutę poubieranych gości. Wszyscy cisnęli się, wrzeszczeli, padali jeden przez drugiego. Gdzież w tym tłoku wynaleźć tych, od których życia życie Gustawa zdawało się zależeć? Daremne były jego pytania i szukania; nikt ani słyszał o Ottylji, nigdzie jéj znaleźć nie można było. Wołano o drabinę, i za chwilę widziano włażącego po niéj asessora.

Sala na górze napełnioną była zaduszającym dymem, palące się belki już się załamywały; jak szalony Gustaw przebiegał z pokoju do pokoju —nakoniec w ciemnéj izbie znalazł tę, któréj szukał. Ottylja leżała omdlała; Gustaw

zaniósł ją do najbliższego okna. Na głos jego przyniesiono drugą drabinę, grad rozpalonych węgli spadał na niego; włosy, suknie jego paliły się, ale szczęśliwie dostał się do stóp drabiny, i setne ręce dopomogły zanieść Ottylją do sąsiedniego domu, gdzie lekarz niebawem przywrócił ją do życia.

— Pierwsze jéj spojrzenie padło na Gustawa, pierwszym jéj wyrazem był wyraz miłości, pierwszém poruszeniem uściśnienie zachwyconego młodzieńca, który jeszcze nie zdołał wynurzyć swojéj radości, gdy uczuł błogosławiącą dłoń ojcowską na swojéj głowie. Dyrektor stał za nim, mając lica zroszone łzami najgłębszego wzruszenia.

— Lube dzieci moje! rzékł, muszę was rozłączyć, święty obowiązek wzywa Ottylją do domu Heimthalów, gdzie jéj matka potrzebuje starania! Pójdź moja córko, jutro znowu zobaczysz Gustawa!

Wsadzono Ottylją do powozu, i asessor prawie chwiejąc się poszedł do swego mieszkania. Był nadzwyczajnie wysilony, ale długo jeszcze zajmowały go obrazy tak obfitego w

wypadki dnia, a serce jego upojone było radością i szczęściem. Nakoniec sen zamknął jego powieki.

Tymczasem sypialnia Dyrektorowéj bardzo smutny przedstawiała widok. Ze złożonemi rękami płacząca Ottylja klęczała przy łóżku matki, rozpaczający ojciec był nad niém nachylony, trzymając rękę małżonki, któréj pulsem n jgwałtowniejsza miotała gorączka. Dzika wyobraźnia choréj ciągle jeszcze błądziła po reducie i wypadkach pożaru; mówiła bez ustanku o Ansbergu, jak o aniele w promienistéj szacie, który ją wyrwał z niebezpieczeństwa. Nazajutrz była jednak spokojniejszą, wróciła, do przytomności i prosiła,aby przywołano hrabiego Ansberga. Z uprzejmym uśmiechem podała wchodzącemu rękę, kazała zbliżyć się mężowi i córce, i rzekła do nich słabym głosem:

— Czuję, że muszę pożegnać was wszystkich i życie. Jedno tylko życzenie mam jeszcze na téj ziemi, a to Greiffenhorst i moja Ottylja mogą wypełnić. Posłuchaj tedy moja droga

luba córko, ostatniego życzenia twojéj umierającéj matki, — nie zwlekaj dłużéj związku z hrabią, bądź jego wierną żoną! Twoje szczęście zawsze było przedmiotem moich życzeń, niech je zapewnię na przyszłość, łącząc cię z Ansbergiem, bo inaczéj nie mogę cię spokojnie pożegnać. Powiedz moja Ottyljo, czy chcesz?

— Chcę! rzekła drżącemi ustami nieszczęśliwa dziewczyna. Matka błogosławiąc położyła swą rękę na głowę dziecięcia, mile się uśmiechnęła a gdy padła na poduszkę, już jéj dusza uleciała.

Zemdlona Ottylja została powierzoną staraniom zarządczyni domu, ojciec zaś uwiadomił asessora piśmiennie o tém, czemu nie mógł przeszkodzić. Ten bilet przeraził Gustawa, nie mógł ani słowa wyrzec, — ten cios zniszczył wszystkie jego siły żywotne. Kilka godzin siedział tak, nie zmieniając postawy, potém wpadł w niebezpieczną chorobę. Podczas gdy żar gorączki go pożerał, a gdy Ottylja najokropniejszéj walce duszy uległa, dowiedziano

się, że nieszczęsny pożar w domu Greiffen-horsta powstał przez nieostrożność lokaja w odległym gabinecie, i dopóty nie został spostrzeżonym, póki niebezpieczeństwo nie było zbyt wielkiem.

Podczas zgiełku pani Greiffenhorst nadaremnie szukała swéj córki, i pełna rozpaczy rzuciła się w płomienie, hrabia Ansberg znalazłszy ją leżącą na ziemi i mocno porauioną spadłemi belkami, wyniósł ją na bezpieczne miejsce. Tęż samą staranność Ansberg poświęcał teraz i Gustawowi, którego stan jednakże z każdym dniem się pogorszał. Pisał zatém do Getyngi, dla przygotowania majorowéj Helsings do boleści, która jéj macierzyńskiemu sercu zagrażała.

## SZLACHETNOŚĆ.

---

### V.

Przy łożu boleści młodego przyjaciela stał dyrektor, przy nim lekarz, który dawał nieszczęśliwemu lekarstwo, gdy tymczasem Ansberg poprawiał poduszki. Nagle otworzyły się drzwi, i ze spojrzeniem rozpaczy w osłupiałém oku majorowa Helsings wpadła ze swemi córkami do pokoju. Była to okropna chwila.

Chory nie poznał matki, lecz jéj jęki zdawały się przerywać cokolwiek jego osłupienie

Lekarz zaklinał ją, aby się oszczędzała. Ansberg chciał ją oddalić, ale dyrektor łagodnie prosił ją, aby się stałością uzbroiła.

— O mój Boże! to jest Greiffenhorst! jęknęła nieszczęśliwa, a poznając przyjaciela młodości, padła na krzesło. Z rozrzewnieniem Greiffenhorst na nią spoglądał, łzy błyszczały pod jéj długiemi rzęsami.

Jego namowom i staraniom córek udało się nakoniec uspokoić cokolwiek rozpaczającą kobiétę, i tyle nabrała mocy, że mogła słuchać szczegółów choroby Gustawa, i po części poznać właściwy jéj powód.

— Zdaje się, że obie rodziny Steinau Greiffenhorst nigdy nie mogą zostać tém, czémby nawzajem mogły być dla siebie! — zawołała z bolesném westchnieniem, patrząc ze smutkiem na łzami zaszłe oczy dyrektora. On uścisnął jéj rękę.

— Na Boga, to prawda! szepnął ledwie dosłyszanym głosem: nasze najpiękniejsze nadzieje, najgorętsze życzenia zniweczone zostały żelazną wolą przeznaczenia, lecz milczenie An-

tonino! nie wolno nam sarkać przeciwko wyrokom Przedwiecznego!

Majorowa pobożnie wzniosła oczy, potém uklękła przy łóżku Gustawa, a siostry jego z drugiéj strony, pośród okropnéj walki duszy zbliżył się Greiffenhorst, i on modlił się. Matka usiadła, położyła jedną ręką na rozpalone czoło młodzieńca, a drugą z pobożném wejrzeniem uchwyciła prawą rękę dyrektora. Tak słuchała przez kilka minut oddechu swojego syna, dopóki jéj głowa nie opadła na poduszki wycieńczona boleścią i trudem zasnęła. Lekarz w milczeniu nakazał spokojność, nikt nie śmiał się ruszyć, tylko Ansberg wymknął się z pokoju.

Gdy majorowa otworzyła oczy, spotkała wejrzenie Gustawa. Z podziwieniem wpatrywał się w nią, zdawał się coś sobie przypominać, nakoniec wyciągnął rękę, i cicho wyrzekł najszanowniejsze imię, które natura utworzyła.

Wykrzykiem radości odpowiedziała matka, a łagodne jéj łzy rosiły lice młodzieńca. Lekarz oświadczył, że chory przebył niebezpie-

czne przesilenie, a jeżeli zupełna spokojność będzie zachowaną, i nie zajdzie żadne gwałtowne wzruszenie, można się wyzdrowienia spodziewać.

Prawdę mówił, stan Gustawa codzień stawał się pomyślniejszym, a tkliwe starania majorowéj, jéj córek i dyrektora, tak dobrze wspierały siłę młodzieńczą, że Gustaw po kilku tygodniach mógł łóżko opuścić.

Tymczasem Ottylja zupełnie wróciła do zdrowia, ale smutek ciągle na niéj ciężał; zdawało się, że ją wszelka chęć życia opuściła. Ansberg często ją odwiedzał, lecz nazbyt był delikatnym aby kiedykolwiek wspominać o prawie, które mu umierająca pani Greiffenhorst nadała. Ottylja w milczeniu dziękowała mu za to, a niemniéj jéj ojciec.

Tak upływał czas, i ziemia pokrywała się znowu młodzieńczym kobiercem wiosny. Tysiące kwiatów rozlewało woń swoją po ogrodach i łanach, wszystko na nowo się odrodziło i oddychało życiem i radością, tylko w domu Greiffenhorstów było smutno i cicho.

Jednego dnia ojciec siedział z Ottylją, hrabią i panną Heimthal w altanie ogrodu, po za parkanem którego przedstawiał się obszerny widok na pole. Ottylja nalewała herbatę, ojciec w dumaniu pogrążony puszczał kłęby dymu z kosztownéj fajki piankowéj, a przyjaciel domu zdawał się być tylko zajęty liczeniem po dziewiędziesiąty dziewiąty raz guzików swojego munduru, chociaż skrycie rzucał znaczące spojrzenia na pannę Heimthal.

— Czy pan pozwoli? zapytała Ottylja po cichu dając mu filiżankę; lecz w téjże samej chwili zaczęła drżéć, zbladła, i padając na ławkę biedna dziewczyna wyjęknęła imię Gustaw!

Bystre oczy Ansberga wkrótce odkryły powód wzruszenia narzeczonéj. Na polu z tamtéj strony ogrodu Gustaw prowadzony był przez swoją matkę i siostry. Ottylja dziś po raz pierwszy widziała go po owym nieszczęsnym pożarze, oczy jéj mocno w niego były wlepione, cała jéj dusza malowała się w wejrzeniu.

Uroczyste nastało milczenie.

— Ottyljo, może chcesz wrócić do domu

jesteś słabą, odezwał się nakoniec tkliwy głos ojca, i Ottylja zdawała się odzyskiwać przytomność umysłu. Wzięła swoją robotkę i chciała pójść do domu, lecz Ansberg łagodnie ją zatrzymał, zaklinał ją, aby bez przymusu oddawała się uczuciu, które w głębi jéj serca panuje aby w Gustawie nietylko kochała swojego wybawcę ale i przyszłego męża, jego samego zaś ażeby, tylko uważała jak człowieka który najświętszemi uczuciami brata dla niéj oddycha.

— Matka pragnęła szczęścia swéj córki, tak zakończył szlachetny hrabia. Sądziła, że przy moim boku Ottylja jeznajdzie, połączyła więc nasze dłonie i błogosławiła mnie jako narzeczonego. Lecz Ottyllja nigdy z Ansbergiem nie zdoła być tak szczęśliwą, jak na to zasługuje, bo nie będzie mogła z całą powierzyć mu się szczerością. Oddawna już chowałem to przekonanie w moich piersiach, i wynurzam je teraz, bo chwila zdaje mi się stosowna. Moja luba przyjaciołko, moja siostro, żyj tylko dla Gustawa, który zupełnie jest ciebie godnym,

lecz zwiędnieje, jeżeli nie pospieszym różami uwieńczyć wiosny jego życia. Matka twoja chciała, abyś była szczęśliwą przezemnie, pozwól mi więc zapewnić twoje szczęście przez zrzeczenie się twojéj ręki dla Gustawa!

Ze spuszczowemi oczami siedziała Ottylja. lecz ojciec chciał mówić, Ansberg przerwał mu z uśmiechem:

— Jestem zupełnie przygotowany na wszystkie zarzuty panie dyrektorze, a jego szlachetne serce pewno mi ich uczynić nie będzie, dowiedz się pan, że już nieodwołalnie zrzekłem się praw moich do ręki Ottylji; bo już od dwóch tygodni jestem zaręczony z panną Heimthal!

Rzucił saę w objęcia Greiffenhorsta, a Ottylja uczuła serdeczny uscisk swojéj przyjaciołki. Niebawem porozumiano się zupełnie. Ansberg pobiegł natychmiast do mieszkania Gustawa, opowiedział majorowéj co się stało, przygotował także samego Gustewa, a jego zapewnienia były najskuteczniejszym balsamem na wszystkie rany jego serca. Gustaw od czasu swego wyzdrowienia był więcéj wycieńczonym, niż

uległym swojemu losowi, jego wejrzenie w przyszłość zawsze było bolesném. Lecz teraz był nagle zdrowym na ciele i duszy.

Żałobna zasłona na pięknéj głowie Ottylji za kilka miesięcy ustąpić musiała wieńcowi ślubnemu, i w jednym dniu trzy odprawiono wesela: bo obok Gustawa i Ansberga, i Greiffenborst poprowadził narzeczoną do ołtarza —a tą była kochanka jego młodości.

# FORTEPIANISTKA.

## I.

Huczne oklaski brzmiały w skromnym salonie wdowy Kolberg. Synowica jéj Klementyna właśnie skończyła koncert Hummla, i jeszcze brzmiał ostatni akord w strunach niezbyt wytwornego fortepianu.

Za krzesłem młodéj powabnéj artystki, któréj lica najpiękniejszą różą pałały, stał podstarzały baron Hohlfeld, zapalony miłośnik mu-

żyki, i protegowany od ciotki czciciel Klementyny. Pochłaniał on chciwém uchem każdy ton, śliczną jéj ręką z instrumentu wydobyty, a potém pełen uniesienia łączył swoje oklaski z okrzykami licznie zgromadzonych przyjaciół i krewnych domu, gdy tymczasem rysy siedzącego obok Klementyny nauczyciela, najulubieńszego w stolicy, wyrażały ukontentowanie z postępu uczennicy, połączone jednak z jakimciś wyrazem niesmaku, którego powodu nikt nieznał prócz niego.

— Brawo! Brawissimo! Cudownie! bosko! wołał baron, ciągle jeszcze bijąc w dłonie, uchwycił małą rączkę Klementyny, i pełen uszanowania i czułości wycisnął na niéj pocałowanie. — Na Mozarta i Beethovena! Pani jesteś Lisztem płci swojéj, możesz pani grać przed największą publicznością, przed wyborem znawców i artystów!

I komplementów i ukłonów nie było końca. Grono przyjaciół winszowało Klementynie, a ciotka z tkliwością przycisnęła ją do serca.

— Tak, moja Klementyno, rzekła, ty staniesz się pociechą mojéj starości; dasz się publicznie słyszéć!

— Publicznie słyszéć! pomruknął Teodor Wiese, nauczyciel Klementyny. Nikt tego nie słyszał prócz niéj, która nie mogła sobie wytłómaczyć jego dziwnego, oziębłego postępowania.

— Zapewne błąd popełniłam? szepnęła mu łagodnym głosem podczas głośnéj rozmowy zgromadzenia, nie bez trwogi oczekując jego wyroku. Teodor zaprzeczył poruszeniem głowy, i milczał.

Baron wołał ciągle: publicznie dać się słyszéć! Ciotko, synowica pani musi być obsypaną wieńcami! nie posiadam się z radości!

W twarzy ciotki malowało się rozczulenie i duma. — Cóż pan sądzisz o mojéj synowicy, panie Teodorze? Czy sądzisz pan, że prędko dojdzie do wysokiego stopnia?

— O zapewne! odpowiedział nauczyciel, i zamilkł. Nie zważano na jego zły humor, i współubiegano się w grzecznościach dla Klementyny.

Tymczasem poustawiano stoły do gry, Baronowi wypadło siedzieć obok jego staréj siostry. Często przerywał on wista pochlebnemi wykrzyknikami nad mistrzostwem Klementyny, darząc ją imionami wszystkich muz i gracji.

Po skończeniu ostatniego robra wszyscy udali się na skromną wieczerzę. Tylko baron i jego siostra, w któréj najzupełniejsze pokładał zaufanie, zostali się jeszcze przy zielonym stoliku, zatopieni w ważnéj rozmowie o trochę za długiém kawalerstwie pana barona. Z głębokiém westchnieniem, które znawca serc kobiecych łatwo sobie wytłómaczy, baronówna zapytała brata, czy w rzeczy saméj ma zamiar połączyć się z Klementyną? — Ta dziewczyna niema majątku, dodała, a z twoim stopniem....

— Ona jest artystką! zawołał baron z zapałem, a przytém kocham się w niéj!

— *Przy tém?* powtórzyła Baronówna; nieco zdziwiona.

— Bezwątpienia; głównym przedmiotem jest dla mnie artystka, potém dziewczyna, a *tertio loco* jéj skłonność! Ja muszę posiadać artystkę, nie mogę żyć bez artystki!

— I czy ona przystanie? A jéj ciotka?

—Czy przystaną! rzekł baron z niewymowną pewnością zwolna biorąc szczyptę ze złotéj tabakierki. Ja potrzebuję wirtuozki, aby jaśniéć w odbłyskn jéj sławy, a one mnie potrzebują, aby żyć bez trosk, bo z ich małą pensyjką...

— Pytanie jednak, czy serce Klementyny jest jeszcze wolne? dodała znów Baronówna, gdy wtém pani Kolberg przyszła zaprosić ich do stołu.

Baron siedział przy boku Klementyny, pan Teodor bardzo daleko od niéj. To jednak nie przeszkadzało, aby jéj spojrzenia czasami nie spotykały jego oczu.

## II.

Nazajutrz przy śniadaniu Klementyna rozmawiała z ciotką o wczorajszym wieczorze, i zaledwie ukończyła domowe zatrudnienia, uszczęśliwiona pobiegła znowu do ukochanego fortepianu, i niecierpliwie wyglądała nauczyciela. Jakieś skryte uczucie szeptało jéj jednak, że z niepojętych powodów nauczycielka nie byłaby dla niéj tak przyjemną.

Nieraz wszelako opanowała ją jedna żądza, którą ciotce tylko powierzała: to jest żądza publicznego okazania swego talentu. Wpośród rozmowy pełnéj, najświetniejszych nadziei, wszedł pan Teodor.

Miano się wyuczyć nowego, świetnego koncertu Thalberga; był on przeznaczony na imieniny pana Barona.

— Musisz się pospieszyć Klementyno! przypominała ciotka. Czas nadchodzi, a baron...

— Czas nadchodzi! powtórzył smutno i prawie bez myśli pan Teodor.

— Przecież pan nie sądzisz, że moja Klementyna aż do imienin Barona nie potrafi się doskonale koncertu wyuczyć?

— O, nie sądzę bynajmniej, odrzekł zapytany z przytłumioném westchnieniem. — Panna Klementyna niezawodnie się wyuczy, i pan baron...

— Całuje nóżki pań moich, przerwał tenże wchodząc, a Klementyna szybko ukryła nóty, aby nie popsuć niespodzianki dla jéj *przyszłego*, lubo jéj się zawsze zdawało, że ta przyszłość wiecznie pozostanie tylko przyszłością.

Z niewzruszoném okiem pan Teodor uważał spojrzenia Klementyny, i nie mógł sobie zataić, że te częściéj na niego, niż na barona były zwrócone.

Właśnie chciał inne nóty podać swojéj uczennicy, gdy jaśniejący radością baron zawołał prawie drżącym głosem:

— Boska Klementyno! Za ośm dni najdaléj okażesz pani swoje mistrzostwo na publicznym koncercie, zachwycisz pani publiczność będziesz obsypaną laurami!

— Co pan mówisz, panie baronie? zapytała ciotka z bijącém sercem, a synowica podzielała jéj ciekawość, podziwienie i radość. Jednakże tylko lekki rumieniec był oznaką jéj wzruszenia.

— Tak jest, mówił daléj baron. Najpiękniejsza sposobność przedstawia się pani! Sławna śpiewaczka M... znajduje się w naszém mieście i dawać będzie koncerta. Moim znajomościom udało się tedy wyjednać, abyś pani w jednym z nich dała się słyszeć. Od pani więc zależy jéj przystąpienie.

Nauczyciel był jakby piorunem rażony. Jedna tylko Klementyna to uważała, i ledwie doczekać się mogła téj chwili, aby z nim bez świadków pomówić.

— Od pańskiego zdania wszystko będzie zależéć, panie Teodorze, rzekła pełnym skromności głosem, ukrywając gorącą chęć korzystania z nadarzonéj sposobności. — Ale cóż ja będę grała?

— Wszystko jedno, odpowiedział Baron; cokolwiek bądź. Pani przyjdziesz, będziesz grała i zwyciężysz! nieprawdaż panie Teodorze?

— Nie wątpię; jako sumienny nauczyciel radzę jednak, abyś pani jeszcze się starannie zajęła wypracowaniem koncertu.

— Ale jakiego koncertu? przerwała Klementyna pełna niecierpliwości.

Teodor skrycie dał jéj znak, aby obrała koncert dla Barona przeznaczony.

Kobiety zrozumiały go, i po niejakich trudnościach udało im się pozbyć się Barona, aby rozpocząć naukę.

## III.

Klementyna bezsenną noc przepędziła. Sny jéj napełniały bezustannie melodje koncertu, z któremi mieszały się najpochlebniejsze obrazy pełnych zapału oklasków, pochwał w gazetach i t. p. Myśl, że baronowi winną jest spodziewane trjumfy, oswajała ją cokolwiek ze wspomnieniem, że może wkrótce będzie jego żoną, gdy tymczasem mimowolnie czyniła porównania mię-

dzy nim a Teodorem, którego obraz również mimowolnie cisnął się do jéj myśli.

Nadeszła znowu godzina nauki, a Klementyna w obecności swéj ciotki, przy boku swego nauczyciela, grała z niezwykłą gorliwością i prawie z natchnieniem.

Uszczęśliwiona ciotka opuściła swoją robotkę pochłaniając oczyma i uszami swoją synowicę i jéj grę czarującą. Nie tak bardzo uradowanym zdawał się być pan Teodor, a na zapytanie ciotki, czy jest zadowolonym z wykonania, odpowiedział nie najpochlebniéj, zapewniając, że wiele pozostaje do naprawienia, nim Klementyna będzie się mogła odważyć na publiczne wystąpienie.

Dziwném to oświadczenie zdawało się ciotce a jeszcze dziwniejszém saméj Klementynie, która dobrze czuła, że z należytém wykończeniem grała swój koncert.

— Powiedz mi pan, zaklinam, rzekła mu gdy ciotka zaczęła zasypiać, — co pana od niejakiego czasu czyni tak posępnym, panie Teodorze? Pan, który niegdyś nad wszelkie zasługi chwaliłeś moje małe zdolności, teraz,

kiedy sobie pochlebiam, żem w istocie postęp uczyniła, rzadko kiedy, a nawet jak się zdaje z pewną niechęcią pochlebnie się o mnie wyrażasz? Wyznaję, że mnie to troszkę zadziwia...

— W istocie, pani, nie wiedziałem... wyjąknął pomieszany Teodor, ale ona szybko mu przerwała:

—Przyznaj się pan, nie jesteś kontent z tego że publicznie wystąpię?

— Wszak pani tak gorąco tego pragniesz.

— Otóż mamy! Nie chcesz mi pan w oczy powiedzieć, że jeszcze za mało mam wprawy.

— Ale nie!

— Ale tak, panie Teodorze. Sądzę jednak, że aż do koncertu jeszcze się to da zrobić.

Teodor głęboko westchnął.

. Pan milczysz? zapytała Klementyna cokolwiek niespokojna. Wtém wszedł służący z listem od barona.

— Do ciotki, a do tego z napisem: pilno, rzekła Klementyna. Trzeba ją obudzić.

Ciotka wyczytała co następuje:

„Szanowna przyjaciołko! właśnie mi donoszą

że już pojutrze nastąpić ma koncert pani M
Dla panny Klementyny jest to wszystko jedno.
Powiedz jéj pani, że liczę minuty aż do chwili
gdy będę świadkiem jéj tryumfu!

Hohlfeld.“

Klementyna zarumieniła się pełna radości, Teodor zbladł.

— Trzeba nam tedy wszelkich dołożyć starań, rzekł cicho z pewnym rodzajem rezygnacji. Klementyna od téj chwili była tylko zajętą swoim fortepianem, a Teodor mówił tylko o tém, co miało styczność z lekcją. Po jéj ukończeniu odszedł. Klementyna już go nie pytała o zdanie.

## IV.

---

Nazajutrz Klementyna nie wiedziała, od czego ma wprzód zacząć. Musiała jeszcze kilka razy odegrać swój koncert, i zająć się ubiorem na następny wielki dzień. pan Baron przyszedł był wczoraj z doniesieniem, że z największą radością przyjęto ofiarę Klementyny, i podał ogromny afisz, na którém wielkiemi literami stało nazwisko Klementyny.

Teraz już nie można było myśléć o cofnięciu się, i nikt już o tém nie myślał, prócz — Teodora.

Klementynn siedziała przy fortepianie, zajęta przy pomocy swojego mistrza wydoskonaleniem gry swego koncertu. Wykonywała go w istocie z niepospolitą zręcznością, smakiem czuciem, i nie mogła pojąć, dla czego pan Teodor nie okazuje jéj swego zadowolenia. Przy każdym ustępie, gdzie sama przyznać sobie musiała mistrzowskie wykonanie, myślała o wrażeniu, jakie sprawi na słuchaczach, i w wyobraźni napawała się już grzmotem oklasków, któr miał być jéj nagrodą.

— Grasz pani nieporównanie! odezwał się pan Teodor ze spokojnością, do któréj Klementyna była już przyzwyczajoną; ale pomimo to powinnabyś pani mojém zdaniem, wstrzymać się czas niejaki z publicznem wystąpieniem.

— Jakto? odpowiedziała zatrwożona. To mówisz mi pan teraz, gdy już dałam słowo, gdy jestem na afiszu? Prawdziwie nie pojmuję pana...

— Dobrze, jeszcze tylko to jedno miejsce,

przerwał Teodor: staraj się pani wykonać je zu pełnie tak, jak pani mówiłem. Słuchaj pani!

Zagrał jéj ten ustęp; był jednym z najpiękniejszych, najbardziéj wzruszających w całym koncercie, a pod jego ręką te tony zdawały się niewypowiedzianym oddychać urokiem. Grał z ogniem i natchnieniem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziano; jego oko błyszczało, i mocno wlepione było w powabne rysy Klementyny.

Ona, oparta w zachwyceniu o poręcz krzesła, niespokojném okiem śledziła każde poruszenie palców swego nauczyciela. Lekkie westchnienie wydobyło się z jéj piersi.

— Pani! wyjąknął Teodor, i nadaremnie usiłował nadać wyraz swoim uczuciom.

I Klementyna chciała mówić, ale usta drżały; widoczne wzruszenie nią miotało.

— Klementyno! zawołał znowu zachwycony nauczyciel najtkliwszym głosem, ośmielił się wziąć ją za rękę, i o roskoszy; uczuł jéj lekkie ściśnieni .

— Teodorze! odpowiedziała z wachaniem; pan..., Słowo skonało na jéj ustach.

— Tak jest Klementyno, kocham cię!

— Pan mnie kochasz?

— I czy mogę mieć nadzieję?

Uścisnęła jego rękę z całą czułością.

— Panie Teodorze! nie uwodź siebie samego — jeżeliby to była przemijająca skłonność, szał...

— Nie, droga Klementyno! kocham cię z całéj mojéj duszy! Twoja wzajemność spełnia moje najwyższe życzenia na téj ziemi!

—Ciotka zaraz nadejdzie, rzekła Klementyna, cofając rękę i spoglądając na drzwi; chyba że moją suknią bardzo jest zajęta, dodała.

— Ah prawda, koncert! przebacz pani, zapomniałem.

— Wszak mi odradzałeś, na teraz przynajmniéj.

— Na teraz i zawsze, kochana Klementyno! zawołał Teodor ze złożonemi rękami.

— Teodor! rzekła z podziwieniem.

— O proszę, zeklinam cię! wyrzuć te myśli z twego pięknego serca! Patrz Klementyno, wyznaję ci, że pomimo tak życzliwie przez ciot-

kę przyjętych oświadczeń barona, nie zrzekłem się nadziei, że moja skryta miłość znajdzie wzajemność, nim zupełnie do niego należéć będziesz; niektóre oznaki utwierdzały mnie w téj nadziei, i niebu dzięki, nie omyliłem się!

— Ach Teodorze! Ale jakiż to ma związek z koncertem? Wszakże nie jesteś zazdrosnym, Teodorze? Albo też, czy doprawdy gram jeszcze nie zbyt dobrze?

— Grasz cudownie, do zachwycenia, Klementyno, ale to właśnie!

—Nie pojmuję; ty, sam całe życie poświęcony muzyce, odwodzisz od niéj dziewczynę, którą kochasz, która ciebie kocha.

— Kochasz mnie, droga Klementyno! — właśnie dla tego muszę mówić otwarcie, z serca. Tak jest, będziesz grała i zwyciężysz, jak baron powiada; będziesz znowu grała, tryumf po tryumfie będzie następował, to ci twoje rzadkie zapewniają zdolności, twoja skłonność dla sztuki, twój powab. Ale twój mąż także tylko będzie posiadał artystkę, ale nie małżonkę, bo musisz być oddaną *sztuce*, którą tylko dopóty uwielbiają, dopóki składa swe ofiary na

ołtarzu publiczności: Twoje dzieci nie będą miały matki, bo wśród nadziemskich strun odgłosów nikną niewinne szczebiotania niemowląt, a będą tylko słyszane, kiedy fortepian zamilknie, dla nich zostanie się tylko ta cząstka przywiązania, którą ci jeszcze sztuka zostawi, i biada téj matce, małżonce, któréj artystyczna chwała zdolną jest zastąpić to szczęście, które jéj poświęciłaś. Przebaczenia Klementyna! kochasz mnie, a ja wymagam również ofiar, takich ofiar!

## V.

---

Ciotka weszła z wytworną suknią atłasową, darem barona, w którą jutro Klementyna miała się ubrać.

— Przymierz no suknię, Klementyno.

Klementyna wahała się, czy natychmiast odkryć ma ciotce, co napełniało jéj duszę; zarazem walczyła z dwoma zupełne różnemi życzeniami; potém rzekła stanowczo.

— Przedewszystkiém wypadnie podobno odmienić afisz, kochana ciotko. Przepraszam cię, nie mogę i nie będę téj sukni nosiła, przynajmniéj nie jutro!

— A to dla czego? rzekła zdziwiona ciotka. Czy koncert został odłożony?

Baron wszedł.

— Boska Klementyno! zawołał. — Jutro jest więc ta wielka chwila.... Ale otóż i kostium, który po koncercie zapewne będzie historyczną wartość posiadał.

— Jeżeli jéj innym sposobem nie zyska, panie Baronie; przeze mnie do niéj nie dojdzie rzekła Klemlntyna.

— Co pani mówisz?

— Tak jest, panie, nie powinnam ociągać się z oświadczeniem tego, o czém się pan musisz przecie dowiedzieć. Ta suknia jest pańskim pierwszym podarunkiem, i widzę się zmuszoną z wdzięcznością zwrócić go panu.

— Jakim sposobem? co ona mówi, proszę pani? zapytał zdumiony baron, gdy tymczasem pani Kolberg stała, jakby spadła z obłoków.

— Bez ogródki wyznaję mu, w obecności mojéj kochanéj ciotki a drugiéj matki, że nie mogę przyjmować daru od mężczyzny, którego tylko *szacować* mogę, rzekła Klementyna ze spuszczonym wzrokiem.

— Klementyno! zawołała ciotka.

— Tylko szacować, nie *kochać*, rozumiem, rzekł baron, i dla tego....

— Nie mogę być pańską żoną.

—Hm! tego się nie spodziewałem,to jest nie tego,że mnie nie chcą kochać,ale że mnie *przyjąć* nie chcą odpowiedział baron z pewną goryczą. Wprawdzie nigdyś mi pani nie dawała szczególnych dowodów swojéj sympatji; nie przywięzywałaś także zbyt wielkiéj wagido mojéj protekcji, byłem głupcem, że mogłem sądzić . . .

— Będę zupełnie otwartą, panie baronie. Bez własnéj woli słuchałam życzenia mojéj ciotki, która miała na celu nasz związek, ale... wtedy moje serce było jeszcze wolném...

— A teraz? zapytał baron obrażonym i trochę szyderczym tonem.

— Przebaczenia, panie baronie! odwołuję się do jego wspaniałości!

— Ale jakże będzie z mojém wstawieniem się, jutrzejszy koncert, moje przyrzeczenie...

— Już do tego należéć nie mogę, i w całém mojém życiu nie będę publicznie grała!

— Klementyno! zawołał Teodor z zachwyceniem, i nie mogąc już ukryć swoich uczuć, wycisnął gorące pocałowanie na ręce Klementyny, wyznał to, co Klementyna jeszcze ukrywała. Baron z lekkim pańskim ukłonem opuścił towarzystwo, a szczęśliwy mistrz bez trudności usunął wszystkie zarzuty dobréj ciotki.

Zapewniał, że znacznym majątkiem, który mu jego talent pozyskał, wynagrodzi ich domowi stratę barona, i formalnie prosił o rękę Klementyny. Za miesiąc mirt zdobił już ciemne jéj włosy, a za parę lat dwóch lubych chłopców igrało przy niej, nie przeszkadzając w niczém ćwiczeniom muzykalnym matki.

# NIEWINNY

## WIĘZIEŃ Z GALER.

(z francuzkiego.)

### I.

W Wrześniu 1828 roku, około drugiéj z rana, najgłębsza cichość otaczała domy wiejskie nad Garonną między Reole a Cadillac, ta cichość, któréj nie zna sen miast, i w któréj,

jak się Delille wyraża, widać tylko noc i słychać tylko ciszę. Jeden wszelako pawilon w dość obszernym parku zdawał się stanowić wyjątek z téj ogólnéj spokojności. Na jednym rogu zabudowania od wschodniéj strony błyszczało w jednéin z okien pierwszego piętra słabe światełko. Pomiędzy dwiema błękitno jedwabnemi firankami można było zajrzéć do sypialni gustownie umeblowanéj, i oświeconéj łagodném pół-światłem. Na łóżku w głębi stojącém spoczywała kobiéta w kwiecie wieku i piękności, ale gorączkowy niepokój jéj snu zdradzał jakieś wewnętrzne, gwałtowne wzruszenie. Obok niéj czuwał mężczyzna z bladém pomarszczoném czołem, niemy i nieruchomy. Skłonił głowę na poduszkę, tamował oddech, jedną ręką zdawał się chcieć wstrzymywać bicie swojego serca, i chciwie podchwytywał przerywane słowa, które ciężki sen wywoływał na usta młodéj kobiéty.

— Jego imie! jego imienia nie powie! szepnął po nadaremném czekaniu, spoglądając w około siebie.

— Artur! odezwała się nareszcie, jak gdyby niewymowna siła skruszyła nareszcie ostatnią pieczęć, strzegącą jeszcze tajemnicy, już do połowy przez sen odkrytéj.

— Artur! powtórzył starzec, zrywając się tak szybko, jak gdyby to imie było sztyletem, w jego piersi wymierzonym. — Artur d'Aubian! A ja temu wierzyć nie chciałem! Artur! Ach, jakżem był zaślepionym!

Konwulsyjném poruszeniem otarł pot, zwilżający jego błade czoło; pochylił się nad tém łóżkiem, które dlań było straszniejszém od otwartego grobu, i na nowo przyłożył ucho do kwitnących, powabnych ust, z których zabójcze wychodziły wyrazy.

— Niechę już.... wyjąknęła młoda kobieta, usiłując powstać. — Narażasz twe życie.... na mojém nic mi nie zależy... ale ty... nie... nie chcę dłużéj.... on już ma podejrzenie.... onby cię zabił!...

Pół przytłumione westchnienie dobyło się z jej piersi, dreszcz przebiegł jéj ciało, i w niewymownéj trwodze podniosła się. Stary mniemał, że się budzi, i cofnął się za kotarę

aby nie być od niéj widzianym; ale ona, nie otwierając oczu, zostawała czas niejaki nieruchoma, w siedzącéj postawie. Stopniowo zmiana jéj rysów zdradzała zmianę jéj uczuć, przestrach, który się w jéj twarzy malował, ustąpił wyrazowi pobożnéj uległości. Młoda kobiéta, któréj drażliwość doszła do tego stopnia który z somnambulizmem graniczy, spuściła głowę, jak gdyby słuchała jakiegoś zatrważającego łoskotu, nagle wstała, zarzuciła na siebie bluzę i ostrożnie przystąpiła do okna.

— Północ! rzekła po cichu, nie mam już krwi w moich żyłach... ten mur jest za wysoki.. Gdyby się zranił... Słyszę go w ogrodzie... Jak mocno stąpa... to ten piasek którym posypano chodniki... Już to ostatni raz...Ja mu to powiem... Żyć tak w obawie i trwodze, to gorzéj niż umrzéć!...

Z tą pewnością poruszeń, która świadczy o owém wewnętrznéem jasnowidzeniu, dotąd jeszcze niedostatecznie przez umiejętność wytłómaczoném, lunatyczka, któréj oczy ciągle jeszcze były zamknięte, zgasiła lampę i zasunęła rygiel u drzwi, potém odsunęła firankę i otwo-

rzyła okno. Jéj mąż, który kilka kroków za nią uważał ją z ponurém wejrzeniem, nie słyszał najmniejszego szmeru. Potém wzięła ze stolika długą wstążkę, którą z okna spuszczała, dopóki nie dotknęła się ziemi. Za chwilę cofnęła znowu wstążkę, i zdawała się zakładać u okna drabinę sznurową. Potém ledwo oddychając wróciła do pokoju. Nagle wyciągnęła ramiona, płacząc przyciskała do siebie urojoną istotę, szepcąc namiętnym głosem: „Moje życie!“

Obejmowała tylko powietrze, i jakby przerażona stała czas niejaki, ręce na piersiach złożone.

— Artur! zawołała nareszcie, jakby się czegoś lękała, i rzuciła się ku balkonowi. Słabe dłonie jéj męża wstrzymały ją na chwilę.

— Lękam się; nie strasz mnie! rzekła ponuro, usiłując się, oswobodzić z rąk jego.

Trwoga kochających ustąpiła szczególnemu instynktowi lunatyków, którzy przedewszystkiém boją się być nagle przebudzonemi. Ale wstrząśnienie było zbyt gwałtownem. Młoda kobiéta obudziła się i krzyknęła pełna prze-

strachu, znajdując się po ciemku w nieznanych ramionach.

— To ja Łucjo! rzekł do niéj stary z gwałtownén. wysileniem; to ja, nie lękaj się!

Zapalił świece, zamknął okno, starał się uspokoić i przystąpił do swojéj żony, która usiadłszy na łóżku, z nieméin podziwieniem spoglądała w około siebie.

— Cóż się stało? zapytała, przyciskając obie dłonie do czoła, miałam ciężki sen. Jakim sposobem ty tutaj jesteś?

— Słyszałem cię idącą, odpowiedział jéj mąż drżącym głosem, lękałam się, że jesteś chorą i wszedłem na górę.

Alboż w twoim pokoju słyszysz idących nad sobą? zapytała Łucja z tajemną obawą.

—Pierwszy raz właśnie słyszałem. Nigdy twój sen nie był tak niespokojnym.

— Ach, jest to okropnie być lunatyczką! rzekła spuszczając głowę, — i czyliżby nie było na to środka? Czy ja przez sen mówiłam?

Ostatnie słowa wyrzekła bardzo słabym głosem.

— Nie, odpowiedział stary, którego twarz pozostała zimną, gdy tymczasem paznokcie jego palców w piersiach się zatapiały.

Wziął świécę, pożegnał żonę i zszedł do swego pokoju. Tu opuściła go siła, i wycieńczony padł na krzesło. Po niejakim czasie jednak siła moralna, któréj osłabienie cielesne nie niszczy, powstała gniewna i nieprzebłagana w sercu tego starca, który odkryciem swojéj niesławy na pozór zupełnie był zgnębiony.

— Jakże go zabić? pytał załamując ręce. Ją!.. do tego nie będę miał odwagi. Ale jego! jego! Wyzwać go! nie będzie chciał bić się ze mną. Będzie się wymawiał moim wiekiem, i każdy przyzna mu słuszność; bo wolno, a nawet jest to zaszczytem, wydrzéć starcowi honor ostatnich dni jego, wyszydzić jego imie, i przez wstyd i rozpacz przywieść go do szaleństwa; ale szpady nikt nie chce z nim skrzyżować, toby było obrazić jego siwe włosy! I czyliż nie mają słuszności? Moje oko jest słabe, moja ręka drży, w pojedynku uległbym bez pomszczenia się. Możeby mnie oszczędzał! Nie, żadnego pojedynku, żadnéj niepewności! Śmier-

ci jego za jakąkolwiek cenę! chociażbym go miał zamordować!

Obrażony małżonek przez całą noc układał tysiące planów zemsty. O świcie wyszedł, i długo przechadzał się w parku, nim jeszcze pobudzono się w domu; nakoniec spotkał go ogrodnik na zakręcie chodnika. Na widok pana zdjął czapkę, tajemniczo zbliżył się do niego i rzekł:

— Dobrze się trafia, panie Gorsaz, żeś pan tak rano wstał; mam panu coś powiedzieć, i nie chciałbym to przy innych uczynić.

— Cóż tam takiego, Piquet? zapytał stary ostro.

— Wczorajszéj nocy, panie Gorsaz, wyjęto okno z małego trephauzu, gdzie przechowujemy nasze narzędzia. Zeszłego wieczora zastawiłem tam był moją kurtkę, w któréj znajdował się nowy zegarek i trochę pieniędzy; kurtkę zastałem, bo mam ją na sobie; ale pieniądze i zegarek zniknęły.

— Wszak tylko twoi robotnicy wchodzą do trephauzu, rzekł p. Gorsaz.

— Zapewne jeden z nich spłatał mi tego figla.

— Na którego masz podejrzenie?

— Jean Pierre i Vacherot są z tutejszych stron, znam ich od dwudziestu lat i ręczę za nich. Może to więc tylko być, za pozwoleniem pańskiém, ten obłudnik Bonnemain.

— Bonnemain? powtórzył starzec, i zdawał się namyślać.

— Nigdy mu bardzo nie ufałem, mówił daléj Piquet; prócz tego psuje mi robotę, aż mi wstyd za niego. Zwie się ogrodnikiem, a nawet gracować nie umie!

— Masz tylko podejrzenie, a w takich rzeczach potrzeba dowodów, rzekł Gorsaz, który więcéj zajmować się zdawał tą sprawą, aniżeliby się można spodziewać.

—Dowodów! wszak to zdaje mi się, jest dość jasny! odpowiedział ogrodnik, dobywając z kieszeni małego ćwieczka; jest to zupełnie nowy ćwiek, znalazłem go na oknie. Tylko Bonnemain ma takie w swoich podeszwach, kupił je

dziesięć dni temu w Reole. Jednego brakuje mu u prawego trzewika; widziałem to wczoraj gdy się rozebrał, aby wejść do stawu.

— Czy mówiłeś już z kim o tém?

— Oho, nie głupim! odpowiedział ogrodnik z filuterną miną; wprzód chciałem się pana poradzić.

— Dobrześ uczynił. Do dalszych rozkazów nikomu o tém nie wspominaj, a skoro zobaczysz Bonnemaina, przyślij go do mnie. Już ja się podejmuję zmusić go do wyznania.

Piquet wzruszył ramionami.

— To obłudnik panie, rzekł, przebiegły hultaj, i pan nic z nim nie wskórasz.

Starzec szedł powoli ku swemu domowi. W swoim pokoju czekał niecierpliwie na złodzieja, który nareszcie wszedł, i trzymając czapkę w ręku, pełen pokory u drzwi się zatrzymał.

## II.

---

Bonnemein miał lat czterdzieści, silnie zbudowany; jak na swój stan był z dziwną starannością ubrany, i zawsze miał słodki uśmiech na twarzy.

Zamknij drzwi i zbliż się, rzekł Gorsaz, spuszczając zazdrostki u okna, przy którém siedział.

Robotnik usłuchał i znowu stanął nieruchomy. Jego postawa była pewną, a twarz spokojną.

— Bonnemain, czyli raczéj Baptysto Leroux, zaczął starzec wpatrując się w niego ostro; przeszłéj nocy popełnioną została kradzież w moim domu. Czy jesteś winnym czy niewinnym, zostaniesz oskarzonym, bo w skutku twojego poprzedniego życia naturalnie podejrzenie pada na ciebie; zresztą są już dowody, a sąd jeszcze ich więcéj wykryje. Byłeś już karany, i znasz zapewne karę, która cię teraz spotka; jest to dożywotnie ciężkie więzienie.

— Spadłem jakby z obłoków! odpowiedział Bonnemain z przerażeniem, któreby może na sędzi instrukcyjnym sprawiło wrażenie; daję panu słowo honoru, panie Gorsaz, że jestem niewinny. Prawda, że byłem karany, nie mogę temu zaprzeczyć, bo prosząc pana o robotę, musiałem mu pokazać moją marszrutę; ale chociaż się w młodych latach głupstwa robiło, nie trzeba przecie dla tego przez całe życie być człowiekiem bez czci i sławy. Jak Bóg

w niebie, tak nie wiem, o czém pan mówisz?

— Za jakąż to zbrodnię byłeś pierwszy raz na ciężkie więzienie skazany?

— Za fałszerstwo, które nieszczęściem popełniłem, zostawując w pewnym domu handlowym, odpowiedział uwolniony galernik z żałującą twarzą.

— Za morderstwo! odparł starzec cicho ale dobitnie, za morderstwo, popełnione między Prades a Villefranche na poborcy celnym, któremu chciałeś odebrać pieniądze, których szczęściem nie miał przy sobie. Szczęściem dla ciebie, powiadam, bo gdy rabunek nie miał miejsca, zostałeś tylko na galery skazany. W Tulonie przez twoje postępowanie pozyskałeś zmianę kary, i zamiast całe życie spędzić na galerach, tylko dziesięć lat na nich zostawałeś. Widzisz, że jestem dokładnie uwiadomiony.

— O stary łotrze! pomyślał Baptysta Leroux, zwany Durand, zwany Lejeune, zwany Bonnemain; żebyśmy tylko sam na sam byli w borze, jabym cię!...

Gorsaz zdawał się odgadywać krwawą myśl człowieka, którego wybadywał, bo wyglądał z pewną niespokojnością przez okno; obecność robotników, którzy się o kilka kroków od niego znajdowali, uspokoiła go. Wśród jasnego dnia, w swoim własnym domu, tak bliski pomocy, sądził się być bezpiecznym od gniewu galernika. Mówił więc daléj, więcéj jednakże z poufałością powolnego doradcy, niż z surowością każącego sędzi.

— Dotąd rzekł byłeś nieszczęśliwy. Przepędziłeś dziesięć lat na galerach za morderstwo, które ci się na nic nie zdało, a teraz możesz bardzo łatwo na zawsze tam powrócić za to, żeś ukradł zegarek, który może 20 franków kosztuje.

— I dziesięciu nie wart! przerwał mu Bonnemain, lecz zaraz potém do krwi przygryzł sobie usta.

— Dziesięć czy dwadzieścia, to nie czyni różnicy, mówił daléj stary z szyderczym uśmiechem; główną jest rzeczą, że kradzież jest dowiedzioną, żeś się sam do niéj przyznał. Będę cię musiał kazać uwięzić.

— To pan każesz uwięzić niewinnego, rzekł więzień z galer, który mimo woli stał się trochę niespokojnym.

Gorsaz długo myślał; nareszcie rzucając na Bonnemaina wzrok, który zdawał się przenikać najskrytsze tajniki tego zepsutego serca, oderwał się:

— Gdybym ci jednak, zamiast cię wydać w ręce sprawiedliwości, podał sposoby dostania się do Bordeaux, i odpłynienia ztamtąd do obcego portu, San Sebastjan albo Bilbao; gdybym, nie poprzestając na twojém ocaleniu, dał ci tyle pieniędzy, żebyś za granicą Francji i mógł założyć handel i żyć wygodnie, np. 10.000 frankow, — cóżbyś na to odpowiedział?

Uwolniony galernik objawiał tylko swoje wzruszenie prawie nieznacznym ruchem ust; z tą przebiegłością, właściwą ludziom jego rodzaju, zgadywał, że idzie tu o zamianę, ale bynajmniéj o dobrodziejstwo. Ta myśl wróciła mu zupełne bezpieczeństwo, bo kto się układa z człowiekiem wyżéj postawionym, staje się wtenczas jego równym.

— Cobym powiedział panie Gorsaz? odpowiedział po namyśle; ha! powiedziałbym: Bonnemain, te 10,000 fr. nie dają ci bez powodu. Muszą cię potrzebować do rzeczy, która tyle jest warta. Widzisz pan, 10,000 fr. to wielki trynkgeld!

— I podejmujesz się téj rzeczy? zapytał stanowczo stary.

— Zobaczemy, odrzekł Bonnemain, nigdym nie odrzucał roboty, tylko leniwi jéj się boją; ale muszę wprzód wiedzieć, o co rzecz idzie.

— Wystaw sobie to, co jest najważniejszego.

— Coś podobnego, jak z poborcą celnym, nie prawdaż? zapytał więzień z galer.

— Tak jest! odpowiedział Gorsaz pewnym tonem.

— Z tą różnicą, że tym razem nie szłoby tu o pieniądze rządowe, ale o sprzątnięcie ładnego chłopca, który przełazi mury i okna, jak gdyby całe życie nic innego nie robił!

— Widziałeś go? zawołał stary, którego ta niespodziana wiadomość do wściekłości doprowadzała.

— Posłuchaj pan, panie Gorsaz. W interessach trzeba wszystko powiedzieć. Będę mówił bez ogródki, bo teraz nie lękam się już oskarzenia pańskiego. Ten głupiec Piquet zostawił w małym trebhauzie swoją kurtkę, w której znajdował się zegarek i pieniądze; byłem właśnie w kłopocie. Człowiek czyni co może! Przełażę więc przez mur do parku. Nagle słyszę jakiś szmer nad sobą; z początku myślałem, że to kot albo coś podobnego, ale nie, to był człowiek, który spuszczał się z muru, a potém szedł ku domowi. Brawo! pomyślałem sobie, to kolega, który miał może jeszcze lepszy pomysł, i możemy do spółki pracować! Było już koło północy, i ciemno jak w rogu. Mniejsza o to — zdjąłem trzewiki i szedłem za nim. Właśnie stanął był przed pańskiém oknem; położyłem się na płask na murawie, aby mnie nie zobaczył. Cóżem widział? Na górze otworzyło się okno, pokazało się coś białego, i szust! mój jegomość już był w pokoju. Aha!

pomyślałem, kolega zdaje się mieć z kimciś w domu porozumienie, pracujemy więc w odmiennym rodzaju. Rzecz ta nic mnie nie obchodziła, i wróciłem do moich interessów.

— Czy poznałeś tego człowieka? zapytał starzec przytłumionym głosem.

— Zdaje mi się, odrzekł galernik z szyderczym śmiechem, lepiéj się pan spytaj pani Gorsaz, która mu się bliżéj przypatrzyła niż ja.

— Czy go poznałeś? powtórzył z gniewem małżonek Łucji.

— Poznałem. Był to Artur d'Aubian, mieszkający nad rzeką, może 20 minut drogi od parku.

— Otóż to tego zabić mi musisz! rzekł stary wstając.

— Nie mówię ani tak, ani nie, odpowiedział niedbale były więzień z galer. Bardzo się narażam; wiem co mnie czeka, jeźli mi się nie uda; jeżeli się powiedzie....

— Otrzymasz 10,000 franków, przerwał mu Gorsaz.

— To więcéj, aniżeli wart ten jegomość; ja się nie zwykłem targować. Ale kto mi za to

ręczy, że mi pan dasz tę summę, gdy mój interes załatwię? Sam pan widzisz, że mi nie wiele pozostanie czasu, a 10,000 fr. odebrać, to nie bagatela. Pan może nie masz i czwartéj części tego w domu, chociaż pan jesteś bogaty.

Zamiast odpowiedziéć, stary poszedł do sekretarki, dobył szkatułki, i z ukrytéj szufladki wyjął dwadzieścia rulonów, które przełamał, i wysypał stos luidorów. Galernik objawił tylko chuć swoją ogniem, który nagle zabłysnął w jego oku, i uśmiechem, który natychmiast przytłumił.

— Widzisz, że twoje pieniądze są w pogotowiu, rzekł p. Gorsaz, pilnie się w niego wpatrując; czy zgoda?

— Kiedy się nie płaci z góry, daje się przynajmniéj zadatek, odpowiedział Bonnemain, wykręcając sobie dłonie na grzbiecie, aby się oprzéć pokusie.

— Masz! rzekł stary dając mu dziesięć sztuk złota; gdy rzecz będzie skończona, otrzymasz pięćdziesiąt razy tyle; widzisz, że to złoto, i będziesz je mógł łatwo udźwignąć.

— Złoto nigdy nie ciąży, odrzekł więzień z galer poważnie, chowając zadatek.

Tym sposobem układ stanął między morder- cą a nieskalanym dotychczas człowiekiem. Na- radzali się potém nad sposobami bezpiecznego wykonania zamachu, którego ofiarą miał być Artur d'Aubian. Zniesławiony małżonek, słu- chając tylko swéj nienawiści, żądał, aby zemsta natychmiast była dokonaną; zdawało mu się nieznośném, czekać do wieczora. Mordercy jednak, na którego spadała odpowiedzialność i niebezpieczeństwo, nie trudno było dowieść, że wśród białego dnia morderstwo spełnioném być nie może.

— Gdy zwykł nocą wychodzić, trzeba więc obrać tę chwilę, mówił morderca z przekona- niem człowieka, który się dobrze zastanowił nad rzeczą, o któréj mówi; między jego a pańskim domem znajduje się bardzo wygodna wązka droga, i można się ukryć za krzakiem. Na dziesięć minut drogi w około nie ma domu, a Garonna bardzo blisko płynie. Księżyc do- piero o 2giéj wschodzi, a że nasz jegomość o

północy zwykł swoją wędrówkę zaczynać, można go więc wziąć na kieł, nie wystawiając się na wielkie niebezpieczeństwo. W sprawie poborcy także ten przeklęty księżyc dopomógł do odkrycia mnie, bo mnie jakiś woźnica poznał, i odtąd dałem sobie słowo honoru, że nic nie będę robił, gdy lampa na niebie palić się będzie. Szkoda, że jéj zadmuchnąć nie można.

— Przedewszystkiém trzeba, abyś Piquetowi oddał zegarek i pieniądze, rzekł Gorsaz. Ma on na ciebie podejrzenie. Jeżeli cię oskarży, będziesz uwięziony.

— A toby panu było nieprzyjemném, przerwał mu poufale złodziéj, będący już bliskim zostania znowu mordercą; pojmuję to, wsadzonoby mnie do ciupy, a ów ładny pan d'Aubian mógłby jeszcze nieraz włazić przez okno. Oddam więc natychmiast Piquetowi zegarek, chociaż on tego widzieć nie będzie. Ten klekot i tak nie wart tego trudu, który podjąłem, aby go dostać. Nakoniec rozeszli się.

Wprzódy jednakże Bonnemain z przenikliwo-

ścią, poniekąd wrodzoną łotrom, obejrzał dokładnie każdy kącik pokoju. Uważał skrytkę, w któréj stary ukrywał pieniądze. i sposób zamykania sekretarki; nakoniec zgłębiał urządzenie okna, i widział, że wewnątrz nie było okiennic. Z zewnątrz strzegły je tylko proste zazdrostki,i nie wysoko znajdowało się od ziemi. Więzień z galer, który ze swoich postrzeżeń był badzo zadowolony, z uszanowaniem skłonił się przed człowiekiem. któremu się zaprzedał, i wrócił do ogrodu do innych robotników, z właściwą mu spokojną i łagodną twarzą.

Po obiedzie, Gorsaz, przechadzając się zwolna w parku, spotkał znowu swojego ogrodnika.

— Muszę być oczarowanym! rzekł Piquet, którego opalona twarz jaśniała radością; wystaw pan sobie, mój zegarek i pieniądze znalazły się znowu w mojéj kieszeni, niepojmuję jakim sposobem. Ja nie wierzę w czary, ale dalibóg, tego sobie wytłómaczyć nie umiem.

— Zapewne któryś z twoich znajomych chciał sobie zażartować z ciebie, odpowie-

dział stary, wzruszył, ramionami i poszedł daléj.

— Mniejsza o to! pomyślał Piquet; dla tego jednak nikt mnie nie przekona, że Bonnemain nie jest oszustem, i gdybym ja był panem Gorsaz, odprawiłbym go przy pierwszéj sposobności!

---

# III.

---

W połowie następnéj nocy dziwne spotkanie zaszło na szczycie muru, który oddzielał park pana Gorsaz od alei lipowéj. Dwóch ludzi, którzy jednocześnie przez mur przełazili, jeden z zewnątrz, a drugi z wewnątrz, nagle na wierzchu zetknęli się z sobą. Obaj przelękli ię tak niespodzianém zjawiskiem, i o mało nie spadli. Tylko instynkt ocalił ich; trzymali się

silnie muru, wleźli na wierzch, i przez chwilę siedzieli nieruchomi jeden naprzeciw drugiego, trzymając się mocno nogami, tak, że ręce mieli zupełnie wolne do walki, która zdawała się być koniecznym skutkiem tego spotkania. Siedzieli tak blisko siebie, że mimo ciemności wnet się poznali. Ten, który z zewnątrz przybywał, nagle widział podnoszące się ramię swego przeciwnika, a w dłoni jego poznał ostrze sztyletu czy noża. Wrócić się było niepodobieństwem, a zostać zdawało się niebezpieczném. On sam był bez broni; nagle więc jedną ręką porwał ramie człowieka, który właśnie chciał w niego ugodzić, gdy tymczasem drugą uchwycił go za gardło.

—Bonnemain! zawołał półgłosem; rzuć twój nóż, albo cię strącę z muru!...

Wiezień z galer, który dla ocalenia swego życia musiał być posłusznym, spuścił swój sztylet do parku.

— Panie d'Aubian! rzekł potém; pozwól mi pan umknąć, nie bronię panu wejść, daj mi pan ztąd odejść.

— Kradłeś tu! rzekł Artur; bo z dobremi zamiarami nikt nie przełazi przez mury!

— Wszakże pan sam przełazisz! odpowiedział Bonnemain; czy i pana mam nazwać złodziejem?

Na to nie można było nic odpowiedzieć, i kochanek Łucji pomyślał, że jeżeli w istocie kradzież popełnioną została, nie może zatrzymywać sprawcę bez narażenia kobiety, którą kochał.

— Puszczę go, pomyślał; bezwątpienia zależy mu wiele na mojém milczeniu; dla tego i on nic nie powie.

Bonnemain, zaledwo drugi go puścił, nie mówiąc ani słowa zlazł z drugiéj strony muru. Niebawem znalazł linę, któréj Artur używał, przerzuciwszy ją silną ręką przez mur, gdzie się żelaznym hakiem zaczepiła, wlazł na powrót z największą szybkością, i zawołał:

— Słyszysz pan! aniś mnie pan widział, ani poznał! Jeżeli mnie pan doniesiesz, opowiem, jak go przeszłéj nocy widziałem włażącego do pokoju pani Gorsaz!

Nie czekając odpowiedzi, Bonnemain spuścił się, i wkrótce zniknął w ciemności.

Artur został przez chwilę nieruchomy na miejscu, gdzie go więzień z galer był opuścił. Żal mu było i gniewał się, że tajemnica jego miłości miała być łasce takiego nędznika powierzoną· wkrótce jednakże starał się uspokoić tą myślą, że nie powinien się niczego lękać od człowieka, któremu tyle na milczeniu zależy. Pomimo jego usiłowań, aby zatrzeć w duszy wrażenie, jakie na nim to niespodziane zdarzenie sprawiło, czuł jednak ciągle jakąś niepewną i niepojętą obawę, jakiéj nigdy nie doznawał w swoich nocnych przygodach. Zamiast zejść szybko do parku, jak to zwykł czynić, wahał się tym razem, a nawet chciał wrócić; ale pomyślał, że go Łucja oczekuje, i miłość odniosła zwycięztwo nad rozsądkiem. Wciągnął przez mur linę, lecz tym razem jéj nie potrzebował, bo Bonnemain, aby łatwiéj przez mur się przedostać, przystawił był drabinę. Aubian pomimo ciemności szedł śmiało pomiędzy drzewami, bo ciemny ten labirynt był mu doskonale znany. Lecz przy pawilonie nagle

się zatrzymał, zdawało mu się bowiem, że wśród cichości, którą dotąd tylko szmer liści przerywał, jakiś dziwny odgłos słyszeć się daje. Dopiero gdy nic już nie słyszał, szedł dalej lecz prawie w téjże saméj chwili wstrzymał go jakiś wyraźny głos, jak mu się zdawało głos człowieka, który kogoś wołał. Liczne wołania z różnych stron następowały szybko po sobie, i zdawały się nawzajem sobie odpowiadać. Bezwątpienia mieszkańcy domy przebudzeniu zostali kradzieżą, podług wszelkiego podobieństwa przez Bonnemaina popełnioną, i rozpoczęto poszukiwanie w parku. Szybko jak sarna, która słyszy pierwsze psów szczekanie, Artur pospieszył na powrót w miejsce, zkąd przybył. W chwili, gdy do niego dochodził, spostrzegł w gęstwinie światełko, i wkrótce poznał wyraźnie człowieka z latarką, który dużemi krokami chodził w alei przed murem. Skoro spostrzegł drabinę, człowiek ów zatrzymał się, i głośno zaczął wołać, na co w pewném oddaleniu inne głosy odpowiadały. Wkrótce pokazały się pomiędzy drzewami dwie inne latarki, i kochanek Łucji poznał, że mu odwrót odcięto. Wahał się

chwilę, lecz niebawem pomyślał, że roztropniéj jest wyjść na spotkanie niebezpieczeństwa, aniżeli uciekać przed niém, nie mogąc go i tak uniknąć. Zbliżył się zatém do szukających, którzy stojąc przy drabinie, żywo z sobą rozmawiali. Wszyscy się zlękli, widząc młodego człowieka wychodzącego z gęstwiny. Najmędrsi nie ruszali się wcale, najodważniejszy rzucił się ku niemu.

— A to co takiego, panie Piquet? rzekł Artur, odpychając przewodnika nocnej wyprawy, który go był pochwycił za kołnierz.

— Jakto! To pan, panie d'Aubian? odpowiedział zdziwiony ogrodnik.

— Cóż się to stało, i co znaczy ta niespokojność? zapytał młodzieniec.

— Ach mój Boże, rzekł Piquet, biedny pan Gorsaz został zamordowany.

— Zamordowany! powtórzył Aubian bledniejąc.

— Zamordowany! Szukamy zbójcy, który tędy zapewne umknął, bo widzimy tu drabinę. Ale zkąd pan o tym czasie wziąłeś się w par-

ku? — mówił daléj wpatrując się z nieufnością w młodzieńca.

Artur miał dość czasu do wymyślenia historji, która mogła usprawiedliwić dwuznaczne położenie, w jakiém się znajdował.

— Podług tego, co mi pan mówisz, odpowiedział, pewno widziałem mordercę.

— W istocie! i któż on jest? czy go pan poznałeś? zapytali razem wszyscy trzéj.

— Szedłem z Cauderol, odparł Aubian, i przebywałem drogę za murem. Nagle spostrzegłem człowieka, który się po nim spuszczał. To mi się zdawało podejrzaném, podszedłem ku niemu, ale zaczął uciekać, i niebawem zniknął mi z oczu. Znalazłem tylko drabinkę u muru zawieszoną. Obawiając się, czy czasem panu Gorsaz nie przytrafiło się jakie nieszczęście, wlazłem tą drabiną, aby szybczéj dostać się do domu i pobudzić ludzi. Właśnie gdym chciał to uczynić spostrzegłem latarnie.

— I poznałeś go pan? zapytał jeden z nich.

— Tylko Bonnemain mógł to uczynić, rzekł Piquet; ja temu obłudnikowi nigdy nie ufałem.

Jeden z robotników, szukając pod murem, zawołał nagle:

— Mam nóż! jeszcze jest krew na nim!

Mordercze narzędzie przechodziło z rąk do rąk, był to sztylet bez pochwy, nóż hiszpański, jak go puskarze nazywają, którego ostrze za pomocą sprężyny dało się wsuwać i wysuwać z rękojeści. Stal była starannie otartą ale przy osadzie rękojeści jeszcze się krew znajdowała.

— Jeszcze nie może być daleko, rzekł ogrodnik; trzeba nam ścigać go jak wilka! dalej! za mną! Ale pan, panie d'Aubian, nie zechcesz pan tymczasem trochę pocieszać tę biedną panią Gorszaz, która jest w rozpaczy? Wystaw pan sobie cierpienia téj nieszczęśliwéj kobiéty; posłano po lekarza, po księdza i po prokuratora królewskiego, ale pan jesteś przyjacielem domu, i pewno się ucieszy skoro pan przyjdziesz.

Artur, który jak wszyscy ludzie, których sumienie nie zupełnie jest czyste, był podejrzliwy, uważał te słowa za szyderstwo, chociaż poczciwy ogrodnik mówił w całéj szczerości ducha. Z drugiéj strony obawiał się, że odmowna odpowiedź mogłaby obudzić podejrzenie, a zresztą w skutku nieszczęścia, jakie Łucją dotknęło, sam

pragnął ją widzieć, i zapewnić ją o swojéj wiecznéj wierności, jako jedyną pociechę, którą mógł jéj ponieść w tak okropném zdarzeniu. Udał się zatém za ogrodnikiem, który ze sztyletem i sznurem w ręku wracał ku domowi.

— Miał się na ostrożności, ten łotr! mówił ogrodnik po drodze; myślał sobie pewno, że drabina jest za ciężką, i że nie potrafi jéj wciągnąć i przez mur przesadzić, dla tego wziął z sobą ten sznur z hakiem, prawdziwie złodziejskie narzędzie. Zresztą silnych rąk na to potrzeba, aby się wdrapać po tym sznurze!...

— Czy pan Gorsaz nie żyje? zapytał Aubian.

— Żyje jeszcze, ale już ledwie, odpowiedział ogrodnik przyspieszając kroku.

Zbrodnia popełnioną była w sypialni, w któréj starzec kilka godzin przedtém miał rozmowę z galernikiem. Morderca wlazł był przez okno, wsadziwszy rękę przez żaluzję i odsunąwszy jéj zasuwkę, a następnie wyjąwszy ostróżnie szybę, przy któréj znajdował się rygiel okna. Gorsaz, napadnięty w łóżku, a może

spiący, zapewne bardzo mały stawiał opór, bo leżał jak zwykle w łóżku. Tylko kołdra trochę była odwiniętą. Możnaby mniemać, że spi gdyby łóżko nie było krwią zalane. Po zabójstwie morderca usiłował otworzyć sekretarkę. Tymczasem spadł z trzaskiem wazon na kominku, tak, że lokaj obok spiący obudził się, i krzykiem swoim dom cały zwołał.

Widok, który się oczom Artura przedstawił, gdy wszedł, powiększał jeszcze wzruszenie, które nim już miotało. Przy blasku kilku świéc spostrzegł milczącą, przerażoną, lecz zatrudnioną gruppę. Łóżko, w którém leżała ofiara, wysunięte było na środek pokoju, aby lekarz mógł się wygodniéj zająć ranionym. W głowach stał stary duchowny, oczekując znaku życia, któryby mu pozwolił dopełnić powinności. Przybył on prawie razem z lekarzem, a że już często przy łożu śmiertelném się spotykali, przeto prawie i słowa nie przemówili do siebie. Lekarz bez zwłoki przystą-

pił do swego dzieła, którego skutku duchowny w milczeniu oczekiwał.

Przy nogach stała żona zamordowanego starca, nieruchoma, i tak silnie oburącz trzymała się łóżka, jak gdyby ją chciano oderwać od téj krwawéj sceny. Oczu jéj nie rosiła żadna łza, a z ust nie wydobywało się ani jedno westchnienie; blada, jak gdyby sama była bliską śmierci, z osłupiałem okiem i zaciśnionemi zębami, spoglądała na swego męża z niemém przerażeniem, i aby lepiéj mogła widzieć, kiedy niekiedy odgarniała swe czarne włosy, które rozpuszczone spływały na skroń i ramiona.

Na widok swego kochanka Łucja nie okazała ani zadziwienia, ani niepokoju; zdawało się, że zbyteczne wstrząśnienie wysuszyło w niéj źródło zwyczajnych uczuć; nieruchomém wejrzeniem wskazała mu martwe ciało starca, i wróciła do dawnéj swojéj postawy, przypominającéj ofiary losu w starożytności. Kołysane przez namiętność, a często nawet zupełnie uspione sumienie, budzi się zawsze na widok śmierci. Gdy Artur spostrzegł tonącego we krwi człowieka, którego gościnnego przyjęcia

nadużył, i w jego piersiach ocknęła się część tych zgryzot, które dręczyły wiarołomną żonę. Uważał za niecne świętokradztwo, przemówić w téj chwili, lub tylko spojrzéć albo pomyśléć o kobiécie, którą kochał. Zamiast zbliżyć się do niéj, przystąpił do duchownego, i rzekł do niego po cichu:

— Czy jest nadzieja ocalenia go?

— Bóg to raczy wiedziéć! odpowiedział duchowny z oczami w niebo wzniesionemi.

Przez kilka godzin wszystkie usiłowania sztuki zdawały się bezowocnemi. Pan Gorsaz nie wracał do przytomności, i co chwila jego oddech zupełnie zdawał się gasnąć. Lekarz, który przy pierwszém obejrzeniu ran zapewniał, że nie są śmiertelne, zaczął tracić nadzieję. Zupełna nieczułość, którą z początku przypisywał utracie krwi i starości, kazała się obawiać, że sztylet morderczy trafił w ważny jaki organ. Kiedy niekiedy schylał się nad ranionym, i z trwogą słuchał słabego oddechu, który z trudnością wydobywał się z piersi. Nakoniec kilka wzdrygnień nerwowych przerwało śmiertelną nieruchomość w twa-

rzy starca, oddech się wzmocnił; po bolesném wysileniu otworzyły się cokolwiek powieki; usiłował podnieść się i trzymał czas niejakusta i oczy otwarte, chociaż nie mógł ani widzieć, ani mówić.

— Możesz się pan udać na spoczynek, rzekł lekarz do duchownego, ocierając czoło; teraz jestem pewnym swego; uratujemy go.

Pierwszy raz d'Aubian szukał spojrzenia Łucji, ale go nie spotkał. Młoda kobiéta, usłyszawszy słowa lekarza, padła na kolana, i gorąco zdawała się modlić.

Po niejakim czasie dzień zaświtał. Przed domem zebrali się wieśniacy i robotnicy, którzy z zajęciem rozprawiali, oświadczając, jakie wrażenie wiadomość o zamordowaniu bogatego i powszechnie szacowanego męża sprawiła w całéj okolicy. Ale poruszenie między temi ludźmi podwoiło się i doszło prawie do wściekłości, gdy spostrzegli Bonnemaina, którego ze związanemi w tył rękami, dwóch silnych wieśniaków i Piquet z tryumfem prowadziło. Przekleństwo i groźby, któremi lud w takim razie, a zwłaszcza na południu, tak hojnie szafuje, spadały jak

grad na sprawcę morderstwa. Wzięto się już do kamieni, a możeby przyszło i do nożów gdyby nie nadjechał pędem jakiś powóz, z którego wysiadł jakiś czarno ubrany poważny jegomość.

— W imieniu Króla! zawołał rozkazującym głosem; żeby nikt z was nie podnosił ręki na tego człowieka!

Poznawszy prokuratora królewskiego sądu w Reole, najgorliwsi wyrzekli się zemsty, którą właśnie mieli wykonać, zaniechali swych wrzasków, i cofnęli się kilka kroków. Po wypytaniu Piqueta, prokurator kazał zdjąć okowy oskarżonemu, po którego brudném odzieniu rozbitéj twarzy widać było, że poddał się dopiero po rozpaczającym oporze. Straż nad nim powierzył ludziom, którzy go pochwycili, a potém wszedł do domu, dla rozpoczęcia śledztwa.

## IV.

W skutku gorliwych starań p. Gorsaz przyszedł był cokolwiek do siebie i odzyskał zupełną przytomność, chociaż nie mógł jeszcze mówić. Prokurator królewski obejrzał tymczasem miejscowość i materjalne dowody, które następnie w sądzie miały być rozpoznawane. Z pomiędzy obecnych w domu jeden oświad-

czył był wprzód, że widział uciekającego morderce, to jest Artur d'Aubian, który musiał powtórzyć zmyśloną do połowy historją, w któréj już Piquet niektóre okoliczności był zmienił.

— Ogrodnik myli się zatém, pytał prokurator, utrzymując, że pan w człowieku, który przez mur przelazł, poznałeś niejakiego Bonnemain?

— Nie widziałem jego twarzy, nie mogłem go więc poznać, odpowiedział Artur, który podpisał śmiałą ręką swoje zeznanie, mocno postanowiwszy, choćby nawet przez krzywoprzysięztwo ocalić honor kochanki.

Po tych przygotowaniach, prokurator, który jak najprędzéj chciał do głównéj dojść rzeczy i skonfrontować ranionego z oskarżonym, wszedł do pokoju pana Gorsaz i przystąpił do łóżka starca, który pomimo swéj słabości usiłował powstać, i zdawał się dziękować prokuratorowi za jego przybycie spojrzeniem, w którém już się rozsądek wyrażał.

— Nie może jeszcze mówić, rzekł lekarz

cicho do prokuratora, ale słyszy i rozumie, co się mówi do niego.

— Panie Gorsaz, odezwał się prokurator królewski nachylając się nad łóżkiem, spodziewam się, że nam pan zdołasz udzielić tych szczegółów, których sprawiedliwość oczekuje dla ukarania zbrodni, któréj się pan stałeś ofiarą. Dopóki pan nie będziesz mógł sam mówić, odpowiadaj mi znakami... Swiéca woskowa którę znaleziono na sekretarce, zdaje się dowodzić, że morderca miał światło, przynajmniéj gdy kraść usiłował. W téj chwili może go pan mogłeś poznać. Czy ten domysł jest trafnym? Czy pan widziałeś mordercę?

Pan Gorsaz z wysileniem uczynił znak potwierdzający.

— Poznałbyś go pan, gdyby go tu przyprowadzono?

Starzec powtórzył toż samo poruszenie, podczas gdy obrzydzenie zdawało się w jego oczach malować.

— Muszę panu oświadczyć, rzekł lekarz do prokuratora biorąc go na stronę, że konfrontacja w téj chwili jest niebezpieczną. Stan ranionego

jeszcze jest bardzo niepewnym, a widok mordercy niezawodnie bardzo go wzruszy, czego jeszcze unikać należy.

— Właśnie, odpowiedział prokurator, właśnie dla tego, że uważam stan chorego za bardzo niepewny, nie powinienem zwlekać konfrontacji. Tak dla sprawiedliwości, jak dla oskarżonego, nie mogę opóźniać jedynego środka, przez który prawda wykrytą być może. Cóż nam pozostanie, jeżeli pan Gorsaz umrze? Materjalne dowody, mniéj więcej znaczące domysły, ale żadne naoczne świadectwo, gdyż pan d'Aubian oświadcza, że nie poznał uciekającego. Trzeba nam więc korzystać z chwil przytomności ranionego, gdyż niewiemy, jak długo ona trwać będzie.

— Stan chorego niezawodnie się pogorszy, skoro pan mordercę wprowadzisz, rzekł lekarz z żywością.

— Czy mi pan ręczysz honorem, że pan Gorsaz jutro rano jeszcze żyć będzie.

— Nikt nie wie, czy jutra dożyje, odpowiedział lekarz unikając stanowczéj odpowiedzi; czyń pan, co mu się podoba. Ja dopełniłem mojéj powinności, sprzeciwiając się postępkowi mogącemu zaszkodzić osobie, którą memu staraniu powierzono.

— A ja mojéj dopełnię, wykrywając zbrodnię, za jakąkolwiek bądź cenę.

— Chociażby tą ceną miała być śmierć ranionego? zapytał lekarz.

— Panie, odpowiedział prokurator surowo; mówisz pan jako apostoł ludzkości, a ja nie powinienem się czuć obrażonym jego słowami. Jestem zastępcą rządu, i pan to musisz pojmować, że nie mogę żadnym sposobem niedopełniać mojego obowiązku, dla tego, że mógłby się czasem zdawać ostrym i nielitościwym. Żałuję, że podobna sprzeczka wszczęła się między nami chociaż ona jest właściwie zaszczytną dowodzi bowiem, że obaj znamy naszą powinność. Na pańskiem miejscu możebym podobnież działał; pozwól mi pan wierzyć, że na mojém nie inaczejbyś sobie postąpił.

Dwaj mężowie rozeszli się smutnie i poważnie. Podczas gdy prokurator wyszedł, dla wydania rozkazu przyprowadzenia więźnia, lekarz przystąpił do pana d'Aubian i duchownego, którzy, od czasu jak Gorsaz odzyskał był przytomność, stali na boku, tak, że ich widzieć nie mógł, — duchowny, aby nie dać poznać ranionemu, że stan jego jest tak niebezpieczny, iż uznano pomoc religijuą za potrzebną, — Artur zaś z pewnym wstydem, który budzi się w prawych sercach przez to przekonanie, że się w nieprzebłagany sposób obraziło człowieka, którego się poważa.

— Panie, rzekł nieukontentowany lekarz do duchownego; ludzka sprawiedliwość nie jest ludzką. Podczas gdy pan przez litość ukrywasz się, aby nie przestraszyć biednego człowieka, prokurator postępuje jak zimny prawnik któremu wszystko jest obojętném, jeżeli tylko dokładny protokół może przedstawić. Chce wprowadzić mordercę. Powiedziałem mu, że za nic nie ręczę, ale on przy swojem obstaje. Moją nie będzie to winą.

— Trzeba więc przynajmniéj wyprowadzić panią Gorsaz, rzekł Artur, który w téj chwili czuł tyle litości, co przywiązania dla Łucji...

— To właśnie chciałem powiedzieć, odparł lekarz; ale to tylko pan zdołasz uczynić, rzekł do duchownego. Wyprowadź pan za tem tę biedną kobietę, i staraj się o to, aby nie wracała. Gdy będzie potrzebną, każę ją przywołać; ma słabe nerwy i nadzwyczajnie jest drażliwą. Mniej usposobione do tego kobiéty dostały pomieszania zmysłów, a cóż dopiero ona! Zatrzymaj ją pan w pokoju, i ja tam przyjdę, skoro się ztąd będę mógł oddalić. Może jéj trzeba będzie krew puścić.

— Alboż jéj stan wistocie zdaje się panu być niebezpiecznym? zapytał Aubian, zatrwożony tém oświadczeniem.

— Mój panie, rzekł doktór do niego po cichu; stan bardzo drażliwéj młodéj kobiéty, która ma starca za męża, zawsze jest niebezpiecznym.

Duchownemu udało się wyprowadzić Łucją

z pokoju. W chwili gdy wychodziła, wszedł prokurator Krolewski z Bonnemainem, ktorego z każdéj strony trzymał wieśniak. Na widok mordercy swojego męża pani Gorsaz zachwiała się i była blisko zemdlenia.

Oskarżony i towarzysze jego zostali przy drzwiach, podczas gdy prokurator królewski sam przystąpił do ranionego, aby go do zajść mającéj sceny przygotować.

— Jest to chwila przesilenia, rzekł lekarz do p. d'Aubian; pomóż mi pan, bo służący są tak niezgrabni, że nie można się od nich pomocy spodziewać. Podłóż pan ręce pod poduszkę i trzymaj pana Gorsaz; tak jak teraz leży, nie może widzieć wprowadzonègo człowieka, a trzeba nam ile możności skrócić tę ceremonję.

Prokurator Królewski, przekonawszy się, że raniony, chociaż nie mówi, zupełnie rozumie, co się w około niego dzieje, i prócz tego zdaje się być wstanie zniesienia nastąpić mającéj rozmowy, dał Bonnemainowi znak, aby się zbliżył. Uwięziony dziko spojrzał w około

siebie i w duchu zdawał się być zajętym ucieczką, któréj niepodobieństwo pojmował; poddał się zatém, zwolna przystąpił, i o dwa kroki, ze spuszczoną głową, bladą twarzą, i jak wszyscy uważali, drżący na całém ciele, stanął przed swoją ofiarą.

— A to uparta dusza! pomyślał, widząc, że Gorsaz otwierał i zwracał na niego oczy które sądził że na zawsze są zamknięte.

Przesilenie, którego się lekarz obawiał, niezwłocznie nastąpiło. Na widok mordercy starzec, pomimo swojéj energji tak się przeraził że wszystkie jego rysy się zmieniły. Lubo już bardzo był blady, jeszcze większa bladość powlokła twarz jego; powieki się zamknęły, a głowa przesuwała się po poduszce, jak gdyby widok mordercy dokonał dzieła jego sztyletu. Podczas gdy lekarz szukał stosownej mixtury Artur trzymając jedną ręką ranionego, nachylił się nad nim, aby mu podać flakonik. W téj chwili Gorsaz na nowo otworzył oczy, i blisko swéj twarzy poznał człowieka, dla którego go Łucja zdradziła. Wpatrywał się w

niego czas niejaki jakby w widmo, w które rozsądek zabrania nam wierzyć; lecz nagle zabłysnął płomień w jego rysach, które już zdawały się drgać pod lodowatym dotknięciem śmierci, nienawiść, niechęć, wściekłość, zemsta, wszystkie krwi chciwe namiętności w jedném spojrzeniu prysnęły z jego oczu. Bez pomocy, nadzwyczaj gwałtowném poruszeniem starzec podniósł się wyciągnął ręce ku Arturowi, którego ta zmiana jakąś zabobonną trwogą przejęła, a po konwulsyjnych usiłowaniach mówienia pękły naresżcie okowy, które dotychczas jego język więziły.

— Morderca! Morderca! — zawołał głosem, który zdawał się z grobu pochodzić. Gdyby piorun wpadł do pokoju, nie mógłby sprawić takiego wrażenia, jak ten okropny, mściwy wykrzyk. Pan d'Aubian milczał i stał jak skamieniały, jak gdyby w istocie był winowajcą; na ustach zaś więźnia z galer igrał szyderczy uśmiech. Prokurator Królewski i lekarz, ze znaczeniem spojrzeli po sobie; ostatni przystąpił do ranionego, i wziął go za puls.

— *Aegri somnia*, rzekł do Prokuratora. Ale Gorsaz z gniewem odepchnął od siebie lekarza, i rzekł przytłumionym, ale wyraźnym głosem.

— Nie! to nie jest marzenie chorego; krew' którą utraciłem, nie zabrała mi rozumu. Mam go jeszcze, widzę was wszystkich ... Pan jesteś Mallet ... A pan jesteś Carignier, prokurator Królewski w Reole, duchowuy wyszedł właśnie z moją żoną s pokoju, to są ludzie, którzy przy mnie pracują, a ten człowiek — mówił daléj, wskazując z wściekłością na Artura. — ten człowiek chciał mnie zamordować! ..,

Słabe jeszcze oko bez wątpienią pana uwodzi, rzekł prokurator, który tak jak Mallet ciągle jeszcze sądził, że raniony nie ma całéj swéj przytomności, — patrz pan tu, czy pan nie poznajesz mordercy w człowieku, który tu stoi po mojéj prawéj ręce?

— Bez niedorzeczności, panie! rzekł Bonnemain, wszak pan widzisz, że on drugiego pozuał, wzywam wszystkich obecnych ua świadectwo?

Starzec pokonał dreszcz, który go przebiegał na widok galernika, i wpatrywał się w niego czas niejaki z wymuszoną spokojnością.

— Ten człowiek, rzekł potém, nazywa się Bonnemain i jest pomocnikiem mego ogrodnika. Nie on chciał mnie zamordować, ale tamten, jak powiadam: Artur d'Aubian. Czyń pan swoją powinność, panie prokuratorze; może już tylko kilka chwil pozostaje mi do życia, niech więc spiszą moje zeznanie. Jeżeli umrę, domagam się, abyście wszyscy przed sądem przysięgłych moje ostatnie słowa powtórzyli. Piesz pan...... nie! daj mi pan pióro... będę miał dość siły, aby sam napisać....

— No proszę! pomyślał Bonnemain, który już lżéj oddychał; gdyby wszyscy tak się z nami obchodzili, toby prawdziwa przyjemność była pracować. Zdaje się, że stary nie zapomniał jeszcze drabinki młodego panicza...

Aubian nie wyrzekł ani jednego słowa; jako ofiara zemsty, któréj sztyletu nie mógł odwrócić bez publicznego zniesławienia ukochanéj

kobiéty, trwał w pełném rezygnacji i pogardy milczeniu.

— Panie d'Aubian, rzekł do niego prokurator królewski z pomieszaniem, na które mężowie sprawiedliwości rzadko kiedy są wystawieni; jakkolwiek dziwném zdaje się nam wszystkim oświadczenie pana Gorsaz, muszę jednakże dosłownie umieścić je w protokóle.

— Czyń pan swoją powinność, odpowiedział Artur poważnie.

Na wezwanie pana Carigniez starzec dokładnie opisał zamach, którego o mało nie stał się ofiarą, trzymając się prawdy we wszystkich punktach, wyjąwszy w jednym. Pomimo wszelkich zarzutów, jakie mu badający czynił, ciągle zamiast imienia istotnego mordercy, wymieniał nazwisko kochanka swéj żony. Gdy brał pióro, aby podpisać zeznanie, które niewinnego mogło zaprowadzić na rusztowanie, duchowny wrócił do pokoju. Na widok sługi religji, która nakazuje przebaczać grzesznikom i zapominać uraz, Gorsaz wahał się chwilę, potém jego nienawiść i chęć zemsty odniosły zwycięztwo; dość pewną ręką podpisał protokół,

padł na poduszkę, wycieńczony ogromnemi wysileniami, które czynił, aby zabezpieczyć swą zemstę.

— Czy już dosyć? zapytał doktor prokuratora; otóż leży pół umarły; sądzę, że to powinno być dostatecznem. Czyś pan się jeszcze nie dowiedział o wszystkiem, o czém wiedzieć chciałeś?

— Więcéj słyszałem, aniżelim pragnął, odpowiedział p. Carignez smutno: cóż pan sądzisz o stanie pana Gorsaz? Czy mniemasz pan, że gorączka ma jednak udział w tém dziwném zeznaniu?

— Chociażby życie moje miało od tego zależéć, odpowiedział lekarz, nie mogę mówić wbrew memu sumieniu. Pan Gorsaz w téj chwili nie ma gorączki, i wié bezwątpienia co mówi. Czy mówi prawdę, tego naturalnie nie wiem.

— A pan czy nie zechcesz mi przyjść w pomoc? rzekł prokurator do duchownego, który, usłyszawszy zeznanie pana Gorsaz, stał w niemém przerażeniu.

— Prawdziwy chrześcijanin byłby przebaczył, odpowiedział starzec, któremu Łucja wyznała była swoje przewinienia.

— Co przebaczył? zapytał Carigniez.

Duchowny poznał, że zdradza tajemnicę spowiedzi; dla tego odpowiedział wzruszonym głosem:

— Bóg czyta w sercach, on sam tylko oświecić może ludzi, którzy tu sprawiedliwość wykonywać mają.

— Życzyłbym poznać zdanie pańskie, powtórzył prokurator królewski; czy pan mniemasz pana d'Aubian winnym morderstwa, o które jest oskarzony?

— Sądzę go niewinnym! odpowiedział duchowny z zapałem.

— Jakże pan wtedy wytłumaczysz postępowanie pana Gorsaz?

Duchowny spuścił oczy i milczał. Carigniez, który usiadł był przed biurkiem, aby raz jeszcze przeczytać protokół, oparł głowę na dłoni, i został czas niejaki w téj zamyślonéj postawie.

— To usiłowanie kradzieży wprawia mnie

w kłopot, rzekł nareszcie sam do siebie: zabijać można z wielu powodów, ale ta kradzież! Pojąć nie mogę. Bogaty człowiek może z zazdrości, z zemsty zostać mordercą, ale pewno nie z chciwości. Namiętność wyradza morderstwo, kradzież wynika z niedostatku; namiętność w istocie tu istnieje, ale gdzież jest niedostatek? — Pan d'Aubian ma majątek, nie prawdaż? zapytał po cichu lekarza.

— Tak, jeżeli go nie przegrał, odpowiedział tenże podobnież.

— Ah, on jest graczem? zapytał prokurator.

— I dość zniszczonym, jak sądzę, odrzekł lekarz; widziano, jak jednego wieczora przegrał w Bordeaux 12,000 franków.

— To naturalnie zmienia stan rzeczy, rzekł prokurator królewski, na którym słowa lekarza zdawały się głębokie sprawiać wrażenie. Właśnie myślałem sobie, że nie można przypuszczać skutku bez przyczyny; ale gra jest przyczyną. Czyliż nie widziano, że Hrabia d'Horn zamordował starego lichwiarza, aby mu pieniądze odebrać?

— Nadajesz pan nierozmyślnym wyrazom znaczenie, o którém ani pomyślałem, odpowiedział lekarz tonem wyrzutu.

— Taki jest stan nas obu, odpowiedział Carigniez zimno; pan z symtomatów wnosisz o chorobie, mnie mała oznaka prowadzi do zbrodni, podejrzenie do dowodu.

Prokurator królewski wstał, przystąpił do Artura, który podczas tego ciągle był stałym i milczącym, i rzekł do niego z poważną grzecznością:

— Czy masz pan, panie d'Aubian, niektóre uwagi do uczynienia względem tego, co pan słyszałeś?

— Żadnych, odpowiedział młody człowiek tonem, w którym zdradzało się z trudnością wstrzymywane wzruszenie; nie do mnie należy spierać się względem oskarżenia, którego stałem się przedmiotem, albo starać się o wykazanie omyłki pana Gorsaz. W zeznaniu mojém powiedziałem prawdę, i dla tego nic dodać nie potrzebuję. Nie sądzę jednakże być godném mnie samego, zaprzysięgać moją niewinność, o której nikt z obecnych nie wątpi.

Rzucił pełne wyrazu spojrzenie na łóżko starca, który tylko odpowiedział uśmiechem, w którym wyrażała się radość z nasycenia nieprzebłaganéj nienawiści i zemsty.

—On wszystko wie pomyślał Artur, i pragnie mojéj śmierci. Będzie zadowolonym, jeżeli inaczéj nie zdołam się ocalić, jak tylko niszcząc sławę Łucji.

W téjże chwili dwóch żandarmów, którzy z Reole przybyli, przesło przed oknem, w które ciekawie zajrzeli. Na ich widok Bonnemain zląkł się mimowolnie; d'Aubian zmarszczył brwi i przygryzł usta.

— Ci ludzie przychodzą, aby mnie uwięzić? zapytał prokuratora królewskiego.

— Mogę panu wyznaczyć miejsce w moim powozie, odpowiedział Carigniez, mimowolnie przejęty uszanowaniem dla godności młodego oskarzonego.

— Będziesz nam pan towarzyszył? pytał daléj Artur, który się więcéj wstydem, niż niebezpieczeństwem swego położenia zajmował.

— Nie, jeżli mi pan dasz słowo honoru, że nie masz na celu ucieczki.

Artur pogardliwie się uśmiechnął.

— Tylko dwa rodzaje ludzi uciekają, rzekł, tchórz i winowajca. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Możesz pan zatém ufać mojemu słowu; a teraz pozwól mi pan prosić jeszcze o jedną grzeczność.

— Mów pan.

— Wyjedźmy ztąd natychmiast, rzekł d'Aubiau, który pragnął opuścić te miejsca, lękając się, że Łucja mogłaby wejść do pokoju i widziéć tak straszną dla obojga scenę.

— Służę panu, odpowiedział prokurator, który skończył był swój protokół, i którego obecność już więcéj nie była w domu potrzebną.

Na znak urzędnika wszyscy wyszli z pokoju. Dwaj żandarmy czekali u drzwi, i będąc ze swego powołania fizjonomistami, wzięli między siebie Bonnemaina, na którego twarzy natychmiast wyczytali zbrodnię.

—Panie prokuratorze, rzekł więzień z galer;powiédz że pan tym jegomościom,że się mylą. Gdy tak jest jasno jak *dwa a dwa cztery*, że

jestem w téj sprawie niewinnym, mam więc nadzieję, że mnie pan wypuścisz. Mam robotę w ogrodzie, i nie mogę czasu tracić.

— Głos powszechny obwinia cię, odpowiedział Garigniez; i muszę cię tymczasem kazać uwięzić. Jeżeli się nie znajdą przeciwko tobie, dowody, będziesz za kilka dni uwolniony.

— To mi sprawiedliwość! rzekł galernik. widząc Artura siadającego do pojazdu prokuratora; poznany morderca jeździ sobie w koczu, a niewinny pieszo wędruje między dwoma żandarmami! — Oj tak! bogacze zawsze trzymają się za ręce, aby lud uciskać i dręczyć. Patrzcież państwo, dla czegóż to pozwalacie mnie, waszego równego, waszego brata, ciągnąć do więzienia?

— Nie masz tu ani braci ani krewnych słyszysz ty, złodzieju zegarków! zawołał Piquet.

Nikt za nim ani się ruszył, i musiał iść.

— Jednakby to ładnie było, gdyby mnie zaraz wypuszczono, pomyślał; żeby tylko stary

który dotychczas tak dobrze się trzymał, nie zaczął co innego paplać!

Wyruszenie dwóch oskarżonych takiego narobił hałasu w domu, że Łucja usłyszała go w swoim pokoju. Przestraszona pobiegła do okna, i widziała jak Artur siadał do pojazdu prokuratora królewskiego.

— Dokąd jedzie pan d'Aubian? zapytała mimowolnie lekarza, który wszedł był do jé pokoju.

—Do więzienia zapewne, odpowiedział doktór' mocno się w nią wpatrując.

— Do więzienia! powtórzyła Łucja.

— Czyliż pani nie wiesz, że to on chciał pana Gursas zamordować? Małżonek pani poznał w nim mordercę.

Biédna kobiéta, zamiast odpowiedziéć, przerażona spoglądała wokoło siebie; nagle zbladła, oczy jéj zawarły się, i padła na ręce lekarza, który zdawał się oczekiwać tego przesilenia, bo nie okazując żadnego podziwienia, zaniosł ją na sofę, i zajął się przywróceniem jéj do zmysłów:

—Ta młoda kobiéta ma teraz dwóch powierników! rzekł następnie do duchownego, który wszedł do pokoju.

# V.

Przeszło sześć tygodni doktór Mallet zamiast jednego, dwóch chorych musiał doglądać w domu pana Gorsaz. Po kilku dniach stan Łucji zdawał się być niebezpieczniejszym, niż starca, któremu nienasycona jeszcze namiętność nadawała energję, która nie gasła, pomimo słabości późnego wieku i niebezpieczeństwa ran

jego. Podczas gdy zniesławiony małżonek konwulsyjnie trzymał się życia, którego nie chciał opuścić, nie nasyciwszy swéj zemsty, młoda kobiéta w ponuréj rozpaczy zdawała się pragnąć śmierci, jako jedynéj pomocy w jéj nieszczęsném położeniu. Lekarz, widząc ją codzień słabszą i draźliwszą, ofiarą gorączki, która wycieńczywszy ciało, zdawała się teraz duchowi zagrażać, nieraz żałował téj gwałtowné proby, którą uczynił dla przekonania się, gdzi właściwie jest siedlisko złego, — gdy jéj powiedział, że Artur został do więzienia zaprowadzony. Zwolna wszelako jego sztuka i wytrwałość odniosły zwycięztwo nad cierpieniem, które w wieku Łucji mniéj głęboko jest zakorzenioném. Gorączka ustała bez nadwerężenia umysłu, tak jak pożar, który pustoszy mieszkania ludzi, i nakoniec gaśnie u stóp świątyni. Młoda kobiéta zwolna odzyskała siły, i zachowała swój rozum. Smutne zwycięztwo sztuki! Wraz z rozsądkiem możeby utraciła przekonanie o swojém nieszczęściu!

Państwo Gorsaz nie widzieli się od dnia za-

machu. Byli oddaleni od siebie; tylko wspólna, równie straszna dla obojga myśl łączyła ich, i w długich godzinach bolesnéj bezsenności wychylali aż do dna truciznę, którą zawiera czara nieszczęśliwych małżeństw. Pan Gersay pierwszy był w stanie przekroczenia surowego zakazu lekarza. Jednego wieczora, korzystając z chwilowéj nieobecności lokaja, powlókł się z wielką trudnością do pokoju Łucji. Tu wyprawiwszy służącą, która zlękła się jego nagłém zjawieniem się, został czas niejaki nieruchomy na progu. Łucja siedziała, czyli raczéj leżała na poręczowém krześle przed kominkiem. Nie ruszyła się na widok swojego męża, nie wyrzekła ani słowa; z wyrazem pogardy nieruchomy swój wzrok w niego wlepiła. Oboje przez chwilę patrzyli na siebie. Starzec zastał młodą żonę, którą świeżą i kwitnącą był opuścił, bladą i zwiędniałą. Łucja uważała także nowe zmarszczki na czole swojego męża, ale wkrótce nic już więcéj nie widziała prócz jego oczów, w których nieprzebłagana namiętność płonęła.

— Muszę przyjść do ciebie, kiedy nie chcesz

przyjść do mnie, rzekł Gorsaz, siadając z drugiéj strony kominka.

— Zapewne ci powiedziano, że sama jestem chorą, odpowiedziała Łucja słabym głosem.

— Bezwątpienia, bo inaczéj pewniebyś nie odstąpiła mojego łóżka, mocno o tém jestem przekonany, rzekł starzec z gorzkim uśmiechem; tak jest, widzę żeś była chorą. Tak się zmieniłaś, że cię zaledwie poznałem. Zapewneś wiele cierpiała?

— Bardzo wiele! odpowiedziała młoda kobiéta przytłumiając westchnienie.

— Cierpienia, w twoim wieku! to ci się zdaje bardzo niesłuszném, nie prawdaż? mówił daléj Gorsaz z ironiczną litością; choroba i cierpienia przystoją tylko dla kogoś, co już za długo żył, i jeszcze tylko do grobu jest zdatny. Ale ty, dziecko, kwiat — i cierpiéć! Tak, pojmuję, że tak szczególne przeznaczenie musi cię dziwić, dawać ci powód do użaleń. Powinienem był wszystkie boleści przyjąć na siebie, a tobie wszystkie uciechy zostawić. Czémże jest kilka kropel bezużytecznéj krwi, w porównaniu z gorzkiemi perłami, których ślady wi-

dzę w twoich oczach? Byłem okropnym ego. istą. Powinienem był właściwie twoje łzy mojemi oczami wypłakać, aby blask twojéj piękności na tém nie cierpiał.

Starzec spuścił głowę na piersi, i zatrzymał się czas niejaki.

— Nie odpowiadasz mi? rzekł, wpatrując się w swoją żonę.

— O nic mnie nie pytałeś, odpowiedziała Łucja ze smutkiem.

— Masz słuszność. Tak, moja głowa jest teraz tak słabą, ze za minutę już niewiem com mówił, albo sądzę żem coś powiedział, co mi ani przez mysl nie przeszło. Cóżem to chciał zapytać? Ah prawda, dodał po udanym namyśle; czy sądzisz się być dość silną, aby wytrzymać małą podróż?

— Jaką podróż? zapytała Łucja z tajemną obawą.

— Podróż do Bordeaux. Widzisz, że to tylko przejażdżka.

— I cóż będziemy czynili w Bordeaux, zapytała wzruszonym głosem.

— Alboż nie wypadnie nam być na sądzie przysięgłych? odpowiedział Gorsaz z udaną oziębłością. Przed kilku dniami odebrałem podwójne wezwanie, dla ciebie i dla mnie. Sądzą tamtych ludzi, i trzeba tam naszego zeznania.

Łucja wstała i padła przed swoim małżonkiem, którego kolana konwulsyjnie obiema rękami obejmowała.

— Jestem winną! zawołała głosem, któremu rozpacz niepospolitą nadawała siłę; złamałam wiarę, zapomniałam o moich obowiązkach, oszukałam cię i zdradziłam. Jestem nędznicą, niegodną twego przebaczenia! Nie oczekuję ani łaski, ani miłosierdzia! Możesz mnie deptać nogami, nie będę płakała; możesz mnie zabić, nie będę się broniła, dla siebie nie proszę o nic niczego nie żądam! . . .

— Dla kogoż więc prosisz i czego chcesz? przerwał stary surowo.

— Czego chcę? powtórzyła z podwojoną energją; ażeby kto inny, który daleko mniej jest winnym, aniżeli ja, nie cierpiał kary za moje przewinienie. Żądam, abyś cofnął oświad-

czenie, straszniejsze od morderstwa, bo sztylet zabójcy odbiera tylko życie, gdy tymczasem rusztowanie i honor wydziera! Jeżeli tak pragniesz krwi, dla czegoż mnie nie oskarżysz? Wszak już nie jedna kobiéta zabiła męża swojego. Czemużbym nie miała być jedną z tych kobiét? Oskarż mnie, ja się do wszystkiego przyznam; pozbędziesz się występnéj, którą brzydzić się musisz, a niewinnemu uratujesz życie!

— To bardzo heroicznie! odpowiedział Gorsaz z zimném szyderstwem: mam jednakże o nim zbyt dobre wyobrażenie, abym miał sądzić, że zechce swoje życie kosztem twojego ocalić. Jego obowiązkiem jest, jako kochanego człowieka, aby nie mówiąc ani słowa dał się na śmierć skazać, a on to pewnie uczyni!

— Uczyni to! powtórzyła Łucja z dumném spojrzeniem na swojego męża; ale ty, tak blizki grobu, chcesz-że jeszcze popełnić zabójstwo? Czyliż nie wierzysz w Boga?

— Czy pan d'Aubian nauczył cię w Boga wierzyć?

— Słusznie! wybieraj najokrutniejsze słowa, rozdzieraj moje serce i nasycaj twą zemstę, — ale niech ja tylko sama cierpię!

— A gdzieżby była sprawiedliwość? Dla czegożby najwinniejsza strona miała nie być karaną? Nie! dla ciebie łzy, dla niego śmierć!

— Śmierć!

— Może tylko więzienie. Nie trzeba zawsze najgorszych skutków się spodziewać.

— Ale on jest niewinny....

— Niewinny! powtórzył Gorsaz wstając, podczas gdy silném poruszeniem zerwał swoją żonę z ziemi. Twojém zdaniem nikt nie jest zbrodniarzem, jak tylko morderca, który ludziom sztylet w piersiach topi. Alboż to dusza nie ma tak samo krwi jak ciało? Za tę to krew mojéj duszy pragnę zemsty, bo do ostatniéj kropli została wysączoną. Nie wierzyłaś mi zatém, Łucjo, że cię kochałem, żeś na téj ziemi była mojém ostatniém, mojém jedynem szczęściem! I ty chcesz, abym przebaczył!? Nigdy!....

Potém surowo odepchnął młodą kobiétę, która o kilka kroków pogrążona w myślach przed nim stanęła.

W tejże chwili wszedł doktór Mallet.

— Dobry to znak, kiedy chory zaczyna nie słuchać lekarza, rzekł z udaną wesołością; ale wierz mi pan, żeś bardzo źle uczynił, opuszczając swój pokój.

— Trzeba się przecie do tego przyzwyczaić, odpowiedział stary. Za dwa tygodnie muszę się udać w podróż, któréj nie można odwlekać.

— Ah prawda, odpowiedział lekarz, skrycie spoglądając na Łucją; względem processu w Bordeaux. Odbędziemy razem tę podróż, bo i ja otrzymałem wezwanie, lubo nie wiele mam do powiedzenia. Czy pani Gorsaz będzie nam towarzyszyła?

— W stanie, w jakim się znajduje, odpowiedział Gorsaz spokojnie, byłoby to nieostrożném, a może nawet niebezpieczném. Jako nasz lekarz bezwątpienia zechcesz mi pan w tym względzie udzielić świadectwo, któreby m mógł prezesowi przysięgłych okazać.

—Zobaczemy, rzekł Mallet z dwuznacznym uśmiechem. Pani Gorsaz dzięki niebu ma się lepiéj, a mała wycieczka, zamiast zaszkodzić, możeby jéj nawet była pomocną. Zresztą rzecz ta nie potrzebuje być przed oznaczonym czasem rozstrzyganą. A teraz, szanowny panie pacjencie, chciéj wrócić do twego pokoju; oto jest moje ramię. Pani jest utrudzoną, powinna spocząć.

Nic na to nie odpowiadając, Gorsaz oparł się na ramieniu lekarza, i z udaną czułością pożegnał swoją żonę. Za pół godziny Mallet sam jeden powrócił.

— Doktorze, i ja pojadę do Bordeaux, rzekła Łucja, która zdawała się oczekiwać jego powrotu. Pan nie dasz tego świadectwa, którego od pana żądają? — dodała po chwili rozkazującym i razem błagającymtonem.

— Nie mógłbym go udzielić bez obrazy mojego sumienia. Pani w istocie masz się tak dobrze, iż możesz znieść trudy tak krótkiéj podróży! — Zresztą nie lękam się saméj podróży, ale pobytu w Bordeaux.

Łucja żywo przystąpiła do doktora, zatykając mu usta.

— Na Boga, zawołała, ani słowa więcéj! Cokolwiek byś pan widział, słyszał albo odgadł, bo w gorączce bezwątpienia mówiłam, cokolwiek pan wiesz teraz, zachowaj milczenie. Miéj litość nad nieszczęśliwą, dopomóż mi, nie przymuszaj mnie rumienić się. Czy mogę na pana liczyć?

— Jak na ojca! odpowiedział Mallet wzruszony.

I przycisnął do ust rękę, którą mu Łucja podała.

## VI.

Zamach na życie pana Gorsaz wykonany, zwrócił w całéj okolicy największą uwagę. Późny wiek i bogactwo ofiary, znaczenie, jakie posiadał, dziwna sprzeczność dwóch oskarżonych, z których jeden był człowiekiem światowym, spokrewnionym z najpierwszemi ro-

dzinami, a drugi niedawno dopiero uwolnionym więźniem z galer, nakoniec choroba pani Gorsaz, którą powszechnie tkliwości małżeńskiéj przypisywano, tém chwalebniéjszéj, im starszy był jéj przedmiot, wszystkie okoliczności, które jeszcze tajemnicza pomroka okrywała, — wzbudzały do najwyższego stopnia powszechną ciekawość. Każdy niecierpliwie czekał rozwiązania téj krwawéj zagadki. Szczególniéj oskarżeni byli przedmiotem mnóstwa domysłów, oświadczeń, roztrząsań, a nawet zakładów. Niektórzy żadną miarą nie chcieli wierzyć, aby Artur był winnym, a osobliwie kobiéty, które były przekonane, że tak godny ich współczucia młodzieniec może wprawdzie poetyczne popełnić zabójstwo, ale nie mogły przypuszczać, aby był zdolnym do podłego morderstwa.

To okropnie! mówiły elegantki w Bordeaux; ten pan d'Aubian, z którym tańczyłyśmy przeszłéj zimy, ma być mordercą starego człowieka? Tak młody, ukształcony mężczyzna, z prawdziwie hiszpańską twarzą! On! On mał-

by chcieć zabić człowieka dla odebrania mu pieniędzy! Nigdy!

Gdyby oskarżono Artura, że zabił pana Gorsaz w jakim heroicznym zamiarze, np. aby mu porwać żonę, byłoby to, choć okropnem, ale zawsze podobném do prawdy. Romansowe dusze nawet nie odmówiłyby litości zbrodniarzowi, przez namiętność uszlachetnionemu; ale przeszywać piersi człowieka, aby go potém okraść, to był postępek złoczyńcy, zbrodniarza ... ale nie tak przyjemnego mężczyzny. Tak rozumował zdrowy rozsądek kobiét, które i tu jak zwykle miały słuszność.

Z drugiéj strony i Bonnemainowi nie zbywało na obrońcach. Naprzód miał za sobą prosty lud, który z natury jest nieprzyjacielem bogatych panów. Potém następowali przyjaciele ludzkości, filantropowie z powołania, stronnicy emancypacji niewolników i ci wszyscy, którzy się zajmują przyszłością narodów i towarzyskiemi stosunkami, miękkie dusze, dla których człowiek przybywający z domu kary i poprawy i t. p. staje się nadzwyczaj szanownym przedmiotem. Ci to najzapaléczywiéj walczyli

z obrońcami Aubiana, z większą niecierpliwością niż inni oczekiwali skutku processu, i spodziewali się w uwolnieniu Bonnemaina znaleźć nowy przedmiot do kazań przeciwko przesądom, tych którzy ciągle jeszcze mają w podejrzeniu tych nieszczęśliwych, którzy z galer wypuszczeni zostali. Między temi dwoma stronnictwami utworzyło się trzecie, bezstronnych, ktorzy dla zadowolenia wszystkich, obu oskarżonych za równie winnych uważali.

Pod czas gdy tym sposobem popełniona zbrodnia i oczekiwany wyrok były przedmiotem powszechnych rozmow w dwudziesto-milowym okręgu, instrukcja processu szybko postępowała. Szczegóły tego śledztwa zdawały się potwierdzać mniemanie, uwalniające galernika kosztem kochanka. Oskarżeni obstawali ciągle przy swojém zupełném przeczeniu; ale im pomyślniejszemi okoliczności, wykazujące się w ciągu śledztwa, stawały się dla Bonnemaina, tém bardziéj potępiały Artura. Oprócz tego ostatniego, który nic nie chciał powiedzieć, nikt nie

widział galernika w czasie wykonania zbrodni. Bonnemain schwytany był rano na drodze do Bordeaux, lecz z łatwością mógł się usprawiedliwić z tego rannego wyjścia. Oświadczył, że domyślając się, iż jego współrobotnicy dowiedzieli się o jego poprzednim stanie, lękał się, że go doniosą do zwierzchności, i będzie przez nią ukarany za to, że opuścił przepisany mu okręg. Wolał więc opuścić te strony, aniżeli dać się uwięzić, i wyruszył wśród nocy, aby nie spostrzeżono jego ucieczki. Złoto, które u niego znaleziono, zebrał był sobie przez oszczędność, a summa nie była tak znaczną, aby temu oświadczeniu wierzyć nie miano. Zresztą nie znaleziono śladów krwi na jego ubiorze, albo dla tego, że po dokonaniu zbrodni zrzucił suknie, któreby go zdradzić mogły, albo też dla tego, że w wykonaniu swojego czynu tyle miał zimnéj krwi, że mógł się od wszelkiego zdradzieckiego śladu uchronić. Ręce jego były czyste, chociaż nie zdawały się być świeżo umytemi. Był bowiem tyle przebiegłym, że dokonał morderstwa w rękawiczkach. Co się

tyczy noża, który pod murem znaleziono, nikt go nie był widział u galernika.

Podczas gdy niewinność Bonnemaina po każdém nowém zeznaniu zdawała się być niewątpliwą, Artur widział w około siebie mnożące się coraz straszniejsze oskarżenia, któreby nawet świadczyły o jego zbrodni, chociażby pan Gorsaz nie był uczynił swego okropnego zeznania. Wprawdzie nie można mu było dowieść, że nóż do niego należał, ale pozostały jeszcze inne, niemniéj ważne dowody. Sznur poznany został przez kramarza w Reole, który oświadczył, że przed kilku miesiącami sprzedał go panu d'Aubian. Z tego się pokazało, że Artur umyślnie, nie zaś z przypadku wszedł był do parku. Dalćj wykazano, że Gorsaz w ciągu lata odebrał był z Bordeaux 20,000 fr. złotem, a d'Aubian, towarzysz jego podróży, wiedział o tém. Z łatwością można było dowieść, że oskarżony od kilku lat stracił w grze znaczne summy i pozaciągał długi, do których spłacenia jego majątek nie zdawał się być dostatecznym. Przetrząsając dom jego, znaleziono bardzo mało pieniędzy, a z tych wszystkich okoliczno-

ści, wielu nieodzownie o jego zbrodni wnosiło. Ich zdaniem Artur d'Aubian, zniszczony grę, i nie mając już sposobu dostania pieniędzy, postanowił zyskać je kradzieżą, którą przypadek zmienił w morderstwo.

Taki był stan rzeczy i taki była opinja publiczna, gdy nareszcie sąd przysięgłych został otworzony. Kilka dni przedtém przywieziono oskarżonych z Reole do Bordeaux. Swiadkowie, a na ich czele Gorsaz i jego żona, także niebawem przybyli. Powszechna ciekawość doszła najwyższego stopnia. Szeregi obrońców Artura były bardzo przerzedzone; tylko kobiéty jeszcze mu wiernemi pozostały.

Wszystkich oczy w liczném zgromadzeniu były zwrócone na oskarżonych, którzy obok siebie zmuszeni byli usiąść. Dwumiesięczne więzienie, którego kresem mogło być rusztowanie, zostawiło w rysach Artura widoczne i głębokie *ślady*; pozostał jednak spokojnym i poważnym, nie troszcząc się, jak się zdawało o to, co się w koło niego działo.

## VII.

---

Od dwóch miesięcy pragnienie zemsty, w którém się skoncentrowała ostatnia energja starego Gorsaza, nie zmniejszyło się, lecz stopniowo doznało zmian, które czas i namysł zawsze pociągają za sobą. Po namiętnéj gwałtowności nastąpiła zimna, cierpliwa, nieprzebłagana, i dla tego tém straszliwsza spokojność.

Gorsaz poznał był potrzebę uporządkowania swej zemsty, i uczynienia jéj skuteczniejszą. Gdy wszedł do sali przysięgłych, jego twarz i cała postawa były wyuczone ze sztuką, któraby najlepszemu aktorowi zaszczyt przyniosła; zamiast wyrażać nienawiść, która jego serce pożerała, oczy jego, gdy się zwróciły na Artura, wyrażały tylko bolesną litość, która głębokie wrażenie na obecnych sprawiała. Aubian poznał z tego spojrzenia, że jest bez nadziei zgubionym.

Najgłębsza cichość panowała, gdy Gorsaz odpowiadał na zwyczajne zapytania, które mu prezes podawał; potém dosłownie powtórzył toż samo zeznanie, które w dniu wykonania zbrodni podpisał.

— Przypatrz się pan oskarżonym, rzekł do niego prezes; czy pan jesteś przekonany, że ten, któregoś poznał, był Artur d'Aubian?

Stary rzucił na kochanka Łucji spojrzenie w którém radość z odniesionego zwycięztwa sztucznie była przez udaną litość zakryta.

— To on! rzekł z westchnieniem, nadaremnie staram się, aby go nie poznać.

To oświadczenie sprawiło ogólne poruszenie; tylko Artur został niewzruszonym, i poprzestał na pogardliwym uśmiechu.

— Panie prezydencie, rzekł jeden z przysięgłych; pragnąłbym, aby nam świadek powiedział, czy przed zamachem zachodziło między nim a oskarżonym jakie rozdwojenie albo nieprzyjaźń.

To zapytanie wzbudziło żywy interes, szczególniéj między kobiétami, które musiały wprawdzie wierzyć w zbrodnię Artura, lecz nie mogły przypuszczać, aby kradzież była jéj celem. Sam oskarżony zarumienił się lekko, i zdawał się być trochę niespokojnym; lecz Gorsaz był przygotowanym na wszystkie zapytania; i to więc nie zmieszało go wcale.

— Pan d'Aubian i ja byliśmy długo sąsiadami, odpowiedział, i żyliśmy zawsze po przyjacielsku z sobą; co się mnie tyczy, moje uczucie nie doznało też w tym względzie zmiany, pomimo krwi przelanéj.

— A zatém pan nie znasz powodu, któremuby można przypisać zamach na jego życie?

— Przyczyną, odpowiedział Gorsaz melancholicznym głosem, jest mojém zdaniem owa smutna namiętność gry, która już tylu młodych ludzi o zgubę przyprawiła. Pan d'Aubian grał wiele i nieszczęśliwie; moje przyjacielskie rady nie zdołały go odwieść od téj, z każdym dniem głębszéj przepaści. W chwili rozpaczy pomyślał może o pieniądzach, które, jak wiedział, niedawnom był otrzymał; dla czegoż nieszczęśliwy nie prosił mnie o nie, zamiast starać się o to tak strasznym sposobem? Gdyby mi był zaufał, wszystko nie byłoby zaszło, i obaj tu byśmy się dziś nie znajdowali.

Ta obłuda pozyskała staremu wszystkich serca.

— Czy masz pan uczynić jaką uwagę przeciwko zeznaniu świadka? zapytał prezes d'Aubiana.

Oskarżony wstał, i zdawał się być okropną miotany walką, nakoniec odzyskał władzę nad sobą.

— Dla honoru mojego imienia, rzekł, nie zaś dla życia, zmuszony jestem powtórzyć, że nie popełniłem zbrodni, o którą mnie oskarżają.

Nie do mnie należy roztrząsać zeznanie pana Gorsaz; wydajcie panowie wyrok; jakkolwiekby dla mnie wypadł, poddaję mu się.

To oświadczenie było tak zimne, tak wymuszone, i niekorzystne sprawiło wrażenie. Indagacja została za chwilę przerwaną, lecz nagle ogólne szepty zmieniły się w najgłębsze milczenie, bo prezes rozkazał wprowadzić panią Gorsaz.

Młoda kobiéta, która natychmiast stała się przedmiotem powszechnéj ciekawości, za kilka chwil weszła do sali. Z głową dumnie wzniesioną, z twarzą od gorączki rozpaloną, jak natchnioną, mocnym krokiem przystąpiła aż do estrady, na któréj się znajdowali świadkowie. Tu zatrzymała się, nie zdając się słuchać pytań prezydenta. Jéj oczy, w których malowało się obłąkanie, z nadnaturalną pewnością przebiegały liczne zgromadzenie, a zatrzymawszy się na Arturze, przybrały niewymowny wyraz miłości i rozpaczy; potém wyciągnęła ramiona do swego kochanka, i głośno zawołała:

— Arturze, otóż jestem!

Wśród powszechnego podziwienia, które po tych wyrazach powstało, podniosło się z dwóch ludzi drżących, jeden z wściekłości a drugi z politowania, mąż i kochanek.

—To świadczy o obłąkaniu, zawołał Gorsaz, a świadectwo obłąkanej . .

— Obłąkanéj! odpowiedziała Łucja, rzucając dumne spojrzenie na swojego męża, i obracając się do prezydenta; pytaj mnie pan, a poznasz, czy jestem obłąkaną, czy nie rozumiem jego pytań, czy nie odpowiadam z zupełną przytomnością. Obłąkanéj! . . . Może nią będę niedługo, ale w téj chwili jeszcze jestem zupełnie rozsądną, i wiem co czynię i mówię.

— Uspokój się pani, podam jéj zapytania, rzekł prezydent.

—Panie prezydencie, sprzeciwiam się téj indagacji! przerwał Gorsaz; ja dowiodę, że od niejakiego czasu rozum téj nieszczęśliwéj jest nadwerężony. Mallet, jéj lekarz, i kilku świadków potwierdzą tę prawdę.

—Zbliż się pan, panie Mallet, rzekł prezes, i sam się przekonaj, czy pani Gorsaz jest zdolną do indagacji.

Łucja uśmiechała się do lekarza, który wchodził na stopnie wzniesienia, i pełna ufności podała mu rękę. Lekarz, który był odgadł tajemnicę, prędzéjby dał potępić Artura, aniżeli zgubił kobiétę, którą od dawna z czułością ojcowską kochał; ale nie chciał jéj wbrew jéj woli ocalić.

— Idzie tu o życie człowieka, pomyślał jeżeli ona tak go kocha, że mu swój honor poświęca, nie mam prawa stawać jéj na przeszkodzie.

— Pani Gorsaz, odezwał się, od dwóch miesięcy ma gwałtowną gorączkę, a to jest jéj stan zwyczajny. Jest przytém bardzo draźliwą, lecz bynajmniéj obłąkaną. Pani Gorsaz, jak sama właśnie oświadczyła, posiada zupełny, niezachmurzony rozsądek, i jestem przekonany, że doskonale zrozumie zapytania, jakie podane jéj będą.

Zgromadzenie cieszyło się tém oświadczeniem lekarza. Lecz Gorsaz chciał wéjść na stopnie, aby przemocą oderwać swoją żonę; ale żandarmy zastąpili mu drogę, i padł na ławkę,

gdzie twarz rękami zasłonił. Artur, od którego Łucja nie odwracała twarzy, błagał ją spojrzeniem, aby nie zdradzała jeszcze wyraźniéj miłości, któréj zeznanie musi ją shańbić. Jako odpowiedź na tę niemą prośbę, otrzymał namiętne spojrzenie, które wyrażało niewzruszony zamiar, aby go uratować, albo umrzéć z nim razem.

## VIII.

---

Tymczasem wszczęła się żywa rozprawa między sędziami, których przezorność nie przewidziała tego dziwnego zdarzenia. Ażeby uniknąć publicznego zgorszenia, prezydent chciał przeszkodzić indagacji pani Gorsaz, która nie mogła właściwie dać wytłómaczenia co do samego zamachu; potrafił on kolegów skłonić na swoją

stronę, ale adwokat jeneralny, którego przyzwolenia koniecznie na to potrzeba było, nie chciał opuścić tak dobréj sposobności zawikłania processu. Oskarżyciel oświadczył przeto na zapytanie prezydenta, że pani Gorsaz koniecznie powinna swoje zeznanie uczynić.

Tymczasem Łucja stała nieruchoma, wpatrując się w Artura, jak gdyby po dwumiesięcznem rozłączeniu nie mogła mu się napatrzéć. Dumna jéj postawa w takiéj chwili byłaby oznaką mezkiéj, czyli raczéj nadludzkiéj energji, gdyby dla prawie nieznacznego drżenia nie musiała oprzéć swéj ręki na krześle, które jéj podano; to drżenie zdradzało słabą trzcinę, która najpierwszéj burzy uledz będzie musiała.

Młoda kobiéta odpowiadała bardzo rozsądnie, możnaby nawet powiedzieć spokojnie, na zwyczajne zapytania, które prezes jéj podał. Gdy ją wezwał, aby wyjawiła przysięgłym to, co może wie o zamachu, wykonanym na życie jéj męża, namyślała się chwilę, nie dla tego, aby pospolita obawa wstrząsnęła postanowienia ego odważnego serca, — ale dla tego, żeby

w téj stanowczéj chwili zebrać wszystkie swe siły.

— Przybyłam tu jako poważana kobieta, i okryta pogardą odejdę, rzekła nakoniec zmienionym, ale wyraźnym głosem. Ale wybór między moim honorem a jego życiem nie może być trudnym. Artur d'Aubian od dziesięciu miesięcy jest moim kochankiem.... Artur d'Aubian jest moim kochankiem, powtórzyła z podziwienia godną energią, przytłumiając dumnêm poruszeniem szmer, który po jéj wyrazach powstał. — od dziesięciu miesięcy często nocą odwiedzał mnie w moim pokoju. Gdy zbrodnia została spełnioną, oczekiwałam go. Zastano go w parku, bo chciał przyjść do mnie, a innéj drogi nie było. Artur jest moim kochankiem, powtarzam. Któż jeszcze będzie śmiał utrzymywać, że on jest mordercą?

— Ja! odpowiedział Gorsaz wstając pałający gniewem.

— Kłamiesz! zawołała Łucja, któréj spojrzenie zdawało się przygniatać starca.

— Ten człowiek kłamie! mowiła daléj, wskazując palcem na niego; ja go zdradziłam, on

wie o tém, i aby się pomścić, oskarża Artura o zbrodnię. Błagałam go, aby mnie oskarżył mnie; nie byłabym się broniła; ale on nie chciał. Krew kobiéty nie wystarcza dla niego, on pragnie krwi Artura, Artura, którego kocham, nie więcéj niż moje życie, bo toby było za mało, ale więcéj niż mój honor!

Tu Łucja zatrzymała się, rzucając swoje pałające oczy na tę część sali, gdzie znajdowały się kobiéty, pomiędzy któremi wielka panowała niespokojność, i których szepty oczywiście potępiały tak niezwyczajne zeznanie.

— Mówicie o bezwstydzie! zawołała do nich z gorzkim uśmiechem. Pomimo waszego okrucieństwa jednak żadnéj z was nie życzę, aby tak była nieszczęśliwa, żeby się przekonała, iż jest jeszcze coś silniejszego, jak wstyd, — rozpacz! Czy sądzicie, żebym tu była przyszła, aby wstyd mój wyjawić, gdyby rusztowanie nie było wzniesione? Chcą go zamordować, powiadam wam! Mamże dozwolić mu umrzéć? ...

Łucja wymówiwszy te ostatnie słowa, za-

chwiała się, oczy jéj się zamknęły, a bladość śmiertelna powlokła mocny rumieniec, przez gorączkę sprawiony. Nadnaturalne natężenie, które ją dotąd utrzymywało, jednym razem było zniszczone, tak jak płomień pochodni gaśnie pod mocnym oddechem. Doktór Mallet, który śledził był wszystkie poruszenia młodéj kobiéty, pobiegł ku niéj, i porwał ją w swe ramiona, gdy właśnie miała upaść; kilku innych przybyło mu w pomoc, i Łucja została wyniesioną. W pobliskim pokoju leżała czas niejaki bez zmysłów, lecz potém nastały gwałtowniejsze konwulsje, aniżeli kiedykolwiek miała.

Posiedzenie przerywa się na pół godziny, rzekł prezes, nie mogąc się doczekać spokojności i uwagi.

Te wyrazy puściły wolny bieg wszystkim tłumionym dotąd uczuciom. Sto rozmów jednocześnie się zaczęło. Postępek pani Gorsaz stał się niewyczerpanym przedmiotem najgwałtowniejszych i najsprzeczniejszych rozumowań. Niektórzy mieli ją za obłąkaną, inni za bez-

wstydną, a jeszcze inni za wzniosłą. W ogólności starzy bronili pierwszego mniemania, kobiéty drugiego, a młodzież trzeciego.

— Ach, jakże szczęśliwy jest ten d'Aubian zawołał jeden z ostatnich.

— Szczęśliwy? że tu na ławce oskarżonych siedzi? odpowiedział starszy jakiś mężczyzna.

—Czyliż wszelka trwoga i wszelkie cierpienia nie zacierają się szczęściem, posiadania takiéj kochanki? Nawet ławka oskarżonych jest tronem dla te go, który w tak szlachetném sercu panuje! Ach, tak być kochanym, i umrzeć!...

Natchnione spojrzenie młodego człowieka zwróciło ten sentymentalny wykrzyknik do pięknéj blondynki, która niedaleko siedziała.

— Być kochanym, to wprawdzie przyjemnie, odpowiedział starszy, ale umrzéć!... na rusztowaniu!... życzę pomyślności!

Gdy posiedzenie na nowo się rozpoczęło, prezydent oświadczył, że stan pani Gorsaz tak się pogorszył, że musiano ją odwieść do domu;

do przysięgłych zaś należy, roztrząsnąć jéj zeznanie.

— Wszyscy świadkowie są już wysłuchani, dodał następnie; pan prokurator jeneralny ma głos.

Prokurator dowodził z taką wymową, że sam Artur nareszcie uwierzył, że miał zamiar, zamordowania pana Gorsaz, nietylko dla skradzenia mu pieniędzy, ale i dla ożenienia się z wiarołomną żoną, która jako wdowa była pożądaną partją dla zniszczonego grą człowieka. Mowa ta sprawiła rozstrzygające wrażenie które adwokat d'Aubiana nadaremnie zatrzéć usiłował. Naprożno odwoływał się do świadectwa Łucji; naprożno usiłował dowieść, że zeznanie pana Gorsaz jest tylko przez zemstę wyrodzoną potwarzą.

Przysięgli ze swéj strony, między któremi znajdowało się tylko dwóch bezżennych, i którzy widzieli tylko w oskarżonym, którego los mieli rozstrzygnąć, uwodziciela kobiét, nie zostali przez to bynajmniéj na jego stronę usposobieni. W ich oczach złamanie wiary małżeńskiéj nietylko nie mogło służyć za usprawiedliwienie, lecz owszem pomnażało zbro-

dnię; i po długich naradach oświadczyli większością 9 głosów z dwunastu, że Artur d'Aubian winnym jest rozmyślnego morderstwa. Bonnemain został natomiast jednozgodnie uwolniony.

Lubo wieczór zapadł, wszyscy obecni jednakże pozostali, aby być świadkami rozwinięcia dramatu. Oskarżeni, których wyprowadzono wprzódy, wrócili znowu do sali posiedzeń, i z obojętnością słuchali wyroku. Więzień z galer objawiał tylko swoją radość przytłumionem mruczeniem.

Artur bez zachwiania się słuchał oświadczenia przysięgłych; słysząc jednakże, że go sąd skazuje na 20 letnie ciężkie więzienie, spuścił głowę na piersi, i zdawał się być czas niejaki zupełnie zniszczonym.

— Alfonsie, rzekł nareszcie do swego obrońcy, który przed nim siedział; uczyniłeś dla mnie co mogłeś, dziękuję ci; ale chwila nadeszła, przypomnij sobie twoje przyrzeczenie.

— Nie jest to wyrok śmierci, odpowiedział młody adwokat, którego twarz śmiertelną powlokła się bladością.

— Tysiąckrotny wyrok śmierci! odpowiedział potępiony; czy chcesz, aby mnie powleczono na galery? Przypomniéj sobie twoją przysięgę, powiadam ci. Nie mogłeś ocalić mi życia, ocal mój honor!

Skłonił się jeszcze bardziéj ku swemu przyjacielowi; ich ręce spotkały się w długiém tajemniczém uściśnieniu. Gdy Artur podniósł się, spotkał wejrzenie starego Gorsaza, jaśniejące złośliwą radością.

— Panie Gorsaz! zawołał mocnym głosem; przypatrz mi się dobrze, abyś mnie sobie w godzinie twojéj śmierci przypomniał!...

To mówiąc Artur przyłożył do swoich piersi ostrze sztyletu, który mu dał przyjaciel, i pewną ręką utopił go po rękojeść w sercu. Przez chwilę stał jeszcze z mocno otwartemi, na Gorsaza zwróconemi oczami, potém upadł nagle, jak drzewo siekierą podcięte.

Krzyk przestrachu dał się ze wszystkich stron słyszéć.

— Nie żyje! zawołał doktór Mallet, który pierwszy pobiegł do trupa; ona obłąkana, a

on bez duszy! Boże! oby twoja sprawiedliwość była litościwszą, niż sprawiedliwość ludzka!

— Zupełnie nie żyje! rzekł z swojéj strony Bonnemain, nachylając się nad ciałem młodzieńca. Hm! zabić się za to, że go na dwadzieścia lat więzienia skazano!....

---

## IX.

---

W trzy miesiące potém, podczas smutnego zimowego wieczoru, doktór Mallet wszedł do domu pana Gorsaz, który od powrotu z Bordaux codzień odwiedzał. Nie pytając się o starego, udał się natychmiast na górę do Łucji, któréj niebezpieczny stan wymagał nader starannego postępowania. Ostrożnie otworzył

drzwi sypialni, i przystąpił do łóżka młodéj kobiéty, która zdawała się być w śmiertelnym śnie pogrążoną. Wziął ją za puls; nie przebudziła się; potém niespokojną rękę przesunął po jéj czole, które było rozpalone jak alabaster dzień i noc palącéj się lampy.

— Gorączka się powiększa, a móżg coraz bardziéj jest naruszony! mówił do siebie ze smutkiem.

Doktor spoglądał przez czas niejaki z bolesną litością na cierpiącą istotę, któréj życie spodziewał się wprawdzie ocalić, ale nie rozum.

— Pewno od wczoraj coś zaszło, rzekł potém z cicha do staréj dozorczyni, która stojąc przy kominku, zdawała się oczekiwać rozkazów lekarza.

—Wielu już chorych pilnowałam, odpowiedziała staruszka, wznosząc oczy w niebo; ale jeszcze nic podobnego nie widziałam. Najprzód wstała przez sen w nocy, jak się to często zdarza, lecz tym razem chciała rzucić się z okna. Już była je otworzyła, i stanęła na niém, gdy szczęściem jeszcze ją uchwyciłam.

— Pani więc spałaś? zapytał Mallet niechętnie.

— I cóżby to było dziwnego? człowiek przecież nie z żelaza... Szczęściem mam silne ręce, bo inaczéj biédna moja pani jużby teraz nie potrzebowała doktora. Ale to jeszcze nic; dziś rano piękna wydarzyła się historja.

— Może pan Gorsaz tu przyszedł? zapytał doktór szybko.

— Zgadłeś pan. Jejmość dostała natychmiast konwulsji, które przeszło dwie godziny trwały. Ledwieśmy ją we cztery mogły utrzymać. Gdy nareszcie nie miała już sił, zasnęła z wysilenia, ale mnie się zdaje, że ten sen nic dobrego nie wróży.

Opowiadanie staruszki przerwane zostało słabym szmerem, i drzwi się otworzyły. Lekarz żywo się odwrócił, i spostrzegł pana Gorsaz stojącego na progu. Mallet natychmiast pobiegł ku niemu.

— Nie wchodź pan tu! rzekł do niego rozkazującym głosem; już tego rana korzystałeś

pan z mojéj nieobecności; teraz musisz mi być posłusznym. Czego pan tu chcesz? Czy dobić tę nieszczęśliwą kobiétę?

— Ona śpi, odpowiedział stary pokornym głosem. Proszę pana, doktorze, wpuść mnie do niéj. Czego się pan obawiasz? Ona śpi, nie będzie mnie widziała.

— Czyliż pan nie wiesz, że ona we śnie widzi? Chociaż śpi, odgadłaby pańską obecność.

— Ach, gdybym ją tylko na chwilę mógł zobaczyć, przerwał mu Gorsaz. Tego rana mogłem tylko przemijające rzucić na nią spojrzenie, a pan mnie już tak dawno od niéj oddalasz. Czyliż już nigdy nie mam jéj zobaczyć?

— Obecność pańska zabiłaby ją, odpowiedział doktór; dopóki jestem jéj lekarzem, sprzeciwiać się będę spotkaniu, którego skutki mogą być bardzo smutne. W tym okropnym stanie, w jakim się znajduje, najmniejsze wzruszenie będzie śmiertelném. Na imię Boga, oszczędzaj pan nieszczęśliwą! Czyliż panu nie dość krwi Artu-

ra? Żądaszże jeszcze życia téj biédnéj kobiéty?

Starzec ze smutkiem opuścił głowę, i długo nie odpowiadał. Nakoniec rzucił na Malleta spojrzenie pełne głębokiéj rozpaczy, i rzekł drżącym głosem:

— Gdybym ją mógł moją własną śmiercią uratować, chciałbym dzisiaj umrzéć. Cóż mam czynić na świecie, nędzny starzec, przedmiot obrzydzenia, bez rodziny, bez przyjaciół i bez dzieci? Ona była wszystkiém dla mnie, moją radością, mojém szczęściem i moim skarbem. Ach, czemuż nie była moją córką, możeby mnie natenczas kochała!

— Na cóż się przydadzą te narzekania, kiedy już złego odwrócić nie można?

— Nie można? Znam ja jeden sposób, ale na to potrzeba mieć siłę, któréj już nie posiadam, bo starość osłabia umysł, jak i ciało, i tylko siłę cierpienia pozostawia. Czy chcesz mi wierzyć, doktorze? Nigdy nie byłem tchórzem, ale nie śmiem zabić sam siebie. Nie sądź pan, że mnie religja od samobójstwa wstrzymuje, — jest to obawa. Pragnę położyć ko:

niec mojemu życiu, ale nie mam do tego odwagi. *On* ją miał. On był młody i kochany, a mógł umrzéć; a ja, tak bliski grobu, nie śmiem zstąpić do niego! Słabość i tchórzostwo są więc ostatniemi towarzyszami człowieka!

Gorsaz zdawał się zupełnie zapominać o obecności lekarza, i wolno wrócił do swego pokoju, gdzie przez cały wieczór, z głową schyloną na piersi, z osłupiałemi oczami, siedział nieporuszony na swojém krześle, kosztując kroplami nieskończonych cierpień, które od kilku miesięcy jego serce napełniały. Gdy o jedenastéj wszedł jego służący, wstał i kazał się rozebrać; potém wziął usypiające lekarstwo, do którego od niejakiego czasu był się przyzwyczaił, i położył się.

W całym domu panowała najgłębsza cichość, słudzy od dawna spali. Śmiertelny sen Łucji ciągle trwał jeszcze, a staruszka pomimo wypadku zeszłéj nocy, zdrzémnęła się na krześle. I Gorsas usnął nareszcie. Nagle jednak przebudzony został jakimciś szmerem u okna.

Otworzył oczy, i z podziwieniem i przestrachem zarazem ujrzał szeroki promień światła, które księżyc przez żaluzje rzucał na kobierzec. To światło zostało jednakże niebawem zaćmione prze ciało człowieka, który szybko i cicho, jak tygrys, zbliżał się do łóżka. Gorsaz usiłował powstać, ale nim zdołał wołać albo pociągnąć za dzwonek, łotr schwycił go, jedną ręką porwał go za gardło, a w drugą wziął długi nóż, który był trzymał w zębach.

— Łaski ... Bonnemain! odezwał się ze drżeniem starzec, który przy świetle księżyca poznał mordercę.

— Ani słowa albo uderzę! odpowiedział cichym głosem morderca. Wstań pan, otwórz sekretarkę i daj mi pieniądze. Jeżeli się pan cicho zachowasz, nic ci nie zrobię; jeżeli zaś choć słówko będziesz chciał pisnąć, poderżnę ci gardło jak kurczęciu. Zrozumiałeś pan?

Gorsaz uczynił znak potakujący, podniósł się za pomocą Bonnemaina, który z ostróżności trzymał go za ramiona, dobył kluczyka ze swego surduta, otworzył sekretarkę, i wyjął ze

skrytki złoto, o którém więzień z galer od pięciu miesięcy nie był zapomniał.

— Czy to wszystko? zapytał tenże, pochłaniając prawie swoją zdobycz oczami.

— Wszystko co mam tu w pokoju, odpowiedział Gorsaz ledwie dosłyszanym głosem; mam wszelako jeszcze pieniądze w biurku w mojéj bibljotece; czy i po te mam pójść?

— Dziękuję; zwołałbyś pan swoich ludzi, i byłoby po mnie. Na dziś nic więcéj nie żądam, i poprzestaję na tych rulonach.

— Weź, daję ci je, i przysięgam, że cię nie oskarżę.

— Znam ja się na tém. Nim godzina upłynie, wysłanoby za mną w pogoń, jak przeszłym razem, nie taki ja głupi!

To mówiąc galernik szybko i niespodzianie zaszedł Gorsarzowi z tyłu objął go silném ramieniem, a zatykając mu usta, utopił mu prawą ręką sztylet w samo serce. Gorsaz konwulsyjnie ugryzł mordercę w palce, raz jeden głośno jęknął i skonał. Bonnemain złożył go cicho na posadzce, i przekonał się, że nie ma już w nim ani znaku życia. Potém chciał za-

brać swoje złoto. W tejże chwili usłyszał otwierające się drzwi, i zimny dreszcz przebiegł jego członki. Zaledwie zdołał się odwrócić, i spostrzegł przy świetle księżyca we drzwiach jakąś postać w bieli, zbliżającą się prosto do galernika, który z przestrachu upuścił sztylet i pieniądze. Potém padł na kolana, lecz miał jeszcze tyle siły i przytomności umysłu, że dostał się do okna, przez które z rozpaczającém wysileniem wyskoczył. Nie oglądając się ani razu, przebiegł ogród, przelazł przez mur, i zaczął uciekać przez pole, jak pierwszym razem, ze skrwawionemi rękami, ale bez złota.

W dwie godziny potém obudziła się nakoniec dozorczyni pani Gorsaz, i spostrzegła, że łóżko młodéj kobiéty jest puste. W najokropniejszéj trwodze pobiegła do okna, które znalazła zamknięte; ale drzwi do połowy były otwarte. Zapaliła światło, i od pokoju do pokoju szła za śladami lunatyczki, która żadnych drzwi nie była zamknęła. Tym sposobem dostała się do pokoju pana Gorsaz, gdzie wydała krzyk przestrachu, który cały dom zbudził.

Łucja siedziała z rozpuszczonemi włosami i zamkniętemi oczyma obok zwłok swojego męża. Dziecinna zabawka, którą szczerze zdawała się zajmować, dowodziła, że obłąkanie zupełnie ją owładnęło. Trzymała na kolanach szkatułkę, rozdzierała jeden rulon po drugim, rozsypywała złoto po kobiercu, i gromadziła je potém w równe kupki. We krwi, która strumieniami ciekła po dywanie, z uśmiechem maczała palce.

Wyprowadzono ją z tego strasznego pokoju, i obudziła się tylko, aby się stać łupem okropnych konwulsji, w których zagasł ostatni cień rozsądku. Sceny, które pięć miesięcy przedtém były zaszły, ponowiły się raz jeszcze. Śledztwo sądowe dowiodło, że pani Gorsaz przez sen zamordowała swojego męża, ku któremu od śmierci Artura d'Aubian pałała nieprzebłaganą zemstą. Że zbrodnię tę we śnie popełniła, zdawało się dowodzić, iż od dawna zajętą była tym planem. Niektórzy członkowie sądu nie uważali bynajmniéj snu za dostateczne usprawiedliwienie, i chcieli zabójczynię przed sąd przysięgłych stawić; pokazało się jednak,

że oskarżona w istocie jest obłąkaną, a tak nie można było wytoczyć jéj processu. Zamknięto ją w domu szalonych.

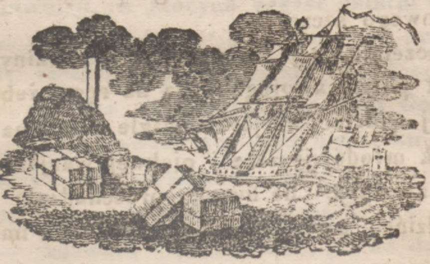
* * *

Roku 1838 pomiędzy ciekawemi, którzy zwiedzali dom obłąkanych w Charenton, znajdował się jakiś zdrowy, dobréj tuszy, starannie ubrany obywatel, około pięćdziesięciu lat mający, który prowadził żonę w niedzielnym stroju i czteroletnie dziecię. Ta grupa była obrazem domowego szczęścia.

Naczelnik téj interessownéj rodziny, który wziął potém swojego syna na ręce, żeby mógł lepiéj widziéć warjatów, nagle zatrzymał się na widok młodéj jeszcze i pięknéj warjatki, która nie zważając na niego, przechadzała się po dziedzińcu, szepcąc bolejącym głosem imię Artura.

— Cóż ci to, Bonnemain? zapytała kobiéta w niedzielnym stroju swojego męża; zbladłeś jak chusta!

— To głód, który mi dokucza, odpowiedział zbierając przytomność były więzień z galer, który dzięki posagowi żony został był posiadaczem kwitnącego domu handlowego; pójdźmy na obiad. Achilek także zasypia; warjaty już go nie bawią, i ja także mam już dosyć na dzisiaj!



# KORRESPONDENCJA

# Z GROBU.

*(Zdarzenie prawdziwe)*

---

Dzienniki amerykańskie zawierają list, z którego następujące zdarzenie udzielamy naszym czytelnikom:

W Hawannie zajmują się teraz najwięcéj dymissją podpułkownika Espeleta i processem w skutku nadnaturalnego zdarzenia. Lubo jestem dobrym chrześcijaninem i starym kastyl-

czykiem, jednak nie wierzę, aby umarli z tamtego świata wracali; tu jednakże źleby na tém wyszedł, ktoby się odważył coś podobnego oświadczyć.

Większa część mieszkańców jest przekonaną, że w pewnych dniach umarli opuszczają swe groby, aby przy świetle księżyca tańczyć na Sawannie. Chcieć przekonać tych ludzi, że to jest niepodobieństwem, byłoby to samo, co chcieć mur przebić głową. Powodu tego zabobonu szukać należy w składzie ludności. Składa się ona z około 900.000 dusz. Ta liczba nie jest tak bardzo znaczną, gdy pomyślemy, że Kuba ma 320 mil kwadr. rozległości, lecz ogromną w porównaniu z ludnością innych części Ameryki. Czwarta część ludności składa się z białych, trzecia jest tylko niewolnikami, a resztę, to jest pięć dwunastych, zajmują wolni kolorowi i krajowcy Indjanie, którzy się wynajmują i razem z niewolnikami uprawiają pole. Z téj mieszaniny wynika, że na Kubie nie widać między białemi a kolorowemi, między wolnym a niewolnikiem owego rozdwojenia, które jest klęską większéj części

innych osad; lecz zarazem i to, że mało ukształceni biali po części przyjęli zabobony murzynów i Indjan.

Gdy Mexyk i Peru ogłosiły się niezawisłemi, wydaliło się mnóstwo osób, które więcéj do ojczyzny matki przywiązane były; będąc jednakże przyzwyczajonemi do tropijskiego słońca, schroniły się do Kuby; wielu przyniosło tam z sobą swoje majątki, lecz zarazem i swoją niewiadomość i gruby zabobon; oni to jeszcze więcéj rozszerzali wiarę w duchy, w czarnoksiężników i t. p. Ale przystąpmy do processu.

Do najpiękniejszych dziewcząt w Hawannie należała Tekla Yacubi. Powiadano, że krew Karaibów, a może nawet murzyńska płynie w jéj żyłach. Dla tego jednak niemniéj była piękną, a że rodzice zostawili jéj majątecztk, ożenił się z nią Jose Vasquez, właściciel plantacji za miastem. Związek ich był szczęśliwy, lecz po dwóch latach, żółta febra, która co rok prawie mnóstwo ofiar porywa, dotknęła i Vasqueza. Tekla została wdową, bez dzieci i w posiadaniu ładnego majątku. Vasquez, któ-

ry aż do ostatniego tchnienia okazywał był swojéj żonie najczulszą miłość, prosił, aby go pochowano z dwoma pierścieniami, które był od niéj otrzymał. Jeden z nich był prostą złotą obrączką, na któréj jéj imię było wyryte; drugi zaś był karniolem z gołąbkiem przeszytym strzałą. Tym ostatnim zwykł był pieczętować swoje listy. Tekla sumiennie wypełniła jego życzenie, i wystawiła mu piękny nagrobek. Płakała szczerze i postanowiła być niepocieszoną; ale tylko dla brzydkich, dla starych, i ubogich wdów nie ma pociechy, a na Tekli żaden z tych grzechów nie ciężył.

Pocieszycieli było więc mnóstwo, a Tekla wahała się między kilku konkurentami. Jeszcze nie była uczyniła wyboru, gdy jeden z jéj sąsiadów, człowiek czterdziestoletni, także zaczął się starać o jéj rękę. Nazywał się Pedro Fortell, i bynajmniéj nie był pięknym. Tekla wiedziała nadto, że był fałszywym i okrutnym, i dla tego z początku zupełnie odrzucała jego hołdy, ale po krótkim czasie zmieniło się jéj postępowanie względem niego, i nakoniec została jego żoną, czego nikt nie mógł pojąć.

Zresztą niedługo panowała zgoda w nowém małżeństwie. Tekla miała dobre serce i żądała, aby się po ludzku z jéj niewolnikami obchodzono. Fortell dowodził jednak, że murzyni nie dość pracowali, i zaczął ich kazać bić, do czego nie byli przyzwyczajeni. Tekla wstawiała się za niemi, najprzód łagodnie, potém z większą pewnością; z tego wszczęły się sprzeczki, które co dzień stawały się gwałtowniejszemi. Nakoniec po jednéj podobnéj kłótni Tekla udała się do Alkalda, oznajmiając mu zamiar rozłączenia się ze swoim mężem, gdyż przez podstęp i oszukaństwo nakłonił ją był do oddania mu ręki. Opowiedziała co następuje:

Jednego wieczora, chcąc pójść spać, zastała na swojém łóżku bukiet kwiatów, gałązkę cytrynową, róże, czerwony jaśmin i ów piękny błękitny kwiat, który w kilku stronach nowego świata uważany jest za znak żałoby; zowią go *cineraria ameloïdes*.

— Zeze! zawołała na swoją murzynkę; kto tu położył te kwiaty?

— Nie wiem pani, ale tu jest i list, dodała spoglądając na łóżko.

Tekla wzięła list, przypatrzyła się pieczątce, zbladła i wydała głośny krzyk przestrachu.

— Ach, najświętsza panno! Cóż to ma znaczyć? Wszakże to pieczęć mojego biédnego Pepe! Ratuj nas panie! to jego ręka! On mi to list przysyła!

— Niepodobna, pani! rzekła Zeze podnosząc papier, który wdowa w strachu upuściła. To być nie może... Ten dobry pan Vasquez nie żyje, a przytém ten list nie pachnie ogniem i siarką.

— Milcz Zeze! zawołała wdowa otwierając list, który od krzyża aż do daty zdawał się być pisany ręką Vasqueza; brzmiał jak następuje:

†

„ Teklo, moja kochanko! Miałem i mam zawsze tylko tę jedną myśl, aby twoje szczęście zapewnić. Dla tego też nie ganię twojego zamiaru, wejścia w nowe związki małżeńskie. Ale

ciągle jeszcze czuwać będę nad tobą, i przewodniczyć ci będę w wyborze tego, który ma twoje szczęście zapewnić.

Bywaj mi zdrowa, serce mojéj duszy (*corazon de mi alma*)!

Bóg z tobą!

Dnia 16 Kwietnia.

*Jose Vasquez.*"

— Pani! zawołała Zeze; a czy napisał, gdzie trzeba oddać odpowiedź?

Można sobie wystawić, jak niespokojną ten list uczynił młodą piękną wdowę; ale ten pierwszy list nie był bynajmniéj ostatnim. Jeszcze wiele innych nadeszło. Tekla znajdywała je to tu, to owdzie, właśnie gdy się ich najmniéj spodziewała, i pojąć nie mogła, czyja ręka kłaść je tam może. Dzisiaj nieboszczyk, który zdawał się być doskonale uwiadomiony o wszystkiém, co się działo na tym świecie, ganił surowo pierwszeństwo, które temu lub owemu

konkurentowi dawała. Żona, pisał nieboszczyk, żadnym sposobem nie może być szczęśliwą z człowiekiem, który od razu ma dwadzieścia romansów. Ten miał być graczem, ów skąpcem, trzeci kochał się tylko w swoich psach i fuzjach i t. p,

Ilekroć wdowa okazywała najmniejszą skłonność dla którego z konkurentów, ukazał się nie wiedzieć zkąd list nieboszczyka, który zwracał jéj uwagę na jego błędy. I tak jednego wieczora Tekla przechadzała się po ogrodzie, zdobiącym wnętrze miasta i zwanym Alameda, a gdy na chwilę zatrzymała się przed posągiem Karola IIIgo, spadł nagle list na jéj wachlarz, chociaż w bliskości nie było śladu żyjącéj istoty. Ten list jak zazwyczaj był zapieczętowany gołąbkiem strzałą przeszytym, i zdawał się również być najwyraźniéj ręką Vasqueza pisany. Brzmiał jak następuje:

†

„Moja kochanko! czas, abyś wykonyła twoje postanowienienie, to jest, abyś na nowo we-

szła w związki małżeńskie. Jest to konieczném dla zbawienia twéj duszy i dla stanu twoich interessów, i żądam tego w imieniu miłości, którą ku tobie czuję. Weź za męża tego, którego sam Bóg ci wskaże. Idź jutro na mszę świętą. Ten z twoich konkurentów, który będzie stał najbliżéj urny Krysztofa Kolumba, będzie tym, którego ci Opatrzność boska przeznacza.

Żegnam cię, serce mojéj duszy!

Bóg z tobą!

Jose Vasquez.“

Trzeba wiedziéć, że miasto Hawanna ma zaszczyt posiadać zwłoki Krysztofa Kolumba. Wielki ten mąż umarł w Sewilli, i został tam w kościele Kartuzów pochowany; jednakże w testamencie swoim sławny ów żeglarz prosił, aby przewieziono jego ciało do St. Domingo, i wraz z kajdanami, w które go okuto, w trumnie złożono. Ostatnią jego wolę co do słowa spełniono. Zwłoki jego zostały prze-

wiezione do St. Domingo, i w katedrze téj wyspy na prawo od ołtarza pochowane. Ale roku 1795, gdy część hiszpańska wyspy St. Domingo została Francji odstąpioną, książę de Varagues, i inni potomkowie prosili o pozwolenie, przewiezienia spiżowéj trumny, która jego ciało zawierała, do Hawanny. Nastąpiło to 16 Stycznia 1796, w trzysta lat po owym czasie, gdy niesprawiedliwy sędzia kazał go okuć w łańcuchy jak buntownika. Teraz zwłoki jego spoczywają w srebrnéj urnie na lewo wielkiego ołtarza w kościele katedralnym Hawanny.

Z posłuszeństwa, czy też z ciekawości Tekla stawiła się punktualnie w miejscu, które jéj ist był oznaczył; ale jakże się zasmuciła, ujrzawszy Pedra Fortell na lewo ołtarza. Czuła do niego odrazę, któréj sobie wytłómaczyć nie mogła. Zdawało jéj się, że wyczytuje z jego rysów chytrość i okrucieństwo. Dla tego też wachała się przez kilka dni z potwierdzeniem wyboru, który owe tajemnicze listy dla niéj uczyniły. Jednakże nieboszczyk coraz usilniéj nalegał, a nakoniec groził.

„ Czy chcesz, niewierna kobiéto, tak się jeden z listów wyrażał; czy chcesz, aby moje zwłoki otrząsnęły pył ze swojéj trumny; czy chcesz abym co noc przychodził kłócić twoją spokojność, aby cię przymusić do spełnienia woli niebios? Czy jak duch potępiony mam błądzić i dręczyć cię, aby cię o prawdzie przekonać? Jesteś niewierną. Chcesz dowodów? Dobrze więc; posyłam ci jeden z pierścieni, które ze mną poszły do grobu. Czy ten zakład będzie dostatecznym dla ciebie? Albo czy chcesz, trwając w nieposłuszeństwie, zakłócić moją spokojność, i w straszny gniew zamienić miłość, którą czuję dla ciebie“

Złota obrączka, na któréj wyryte były imiona obojga małżonków, była do listu załączoną. Nakoniec Tekla poddała się swemu przeznaczeniu. Małżeństwo zostało zawarte, ale jakeśmy widzieli, nie długo było szczęśliwém.

Pedro Fortell pił zazwyczaj czekuladę z małego brunatnego naczynia z ozdobami z białéj porcelany. Te naczynia angielskie były przez czas niejaki na Antyllach dość upowszechnione.

Czy to tajemnica ich wyrabiania zaginęła, lub czy glina, z któréj były robione, zupełnie jest wyczerpaną, dość, że teraz bardzo rzadko napotykają je w handlu a ci, którzy jeszcze posiadają podobne wyroby, zachowują je z największą starannością.

Jednego rana, gdy Zeze przyniosła panu Fortell śniadanie, nastąpiła na orzech, który tenże rzucił był na ziemię, pośliznęła się i padła u nóg swojego pana. Wszystko co trzymała w ręku potłukło się na miazgę. Pedro Fortell wpadł w okropny gniew, i nie myśląc o skutkach, jakie ten rozkaz mógł mieć dla niego, kazał murzynce dwadzieścia plag wyliczyć.

Nadaremnie Tekla błagała o łaskę dla biédnej Zeze; daremnie przedstawiała, że niesłuszném jest karać ją za przypadek, któremu nic nie winna. Pedro Fortell był nieubłaganym, i murzynka musiała uledz okrutnéj karze.

Po kilku dniach, gdy Zeze znajdowała się sama z donną Teklą, padła przed nią na kolana.

— Ach moja dobra pani, rzekła; błagam cię o przebaczenie. Zeze była w tych dniach katowana, ale zasługiwała na jeszcze większą karę. Ja panią uczyniłam nieszczęśliwą; ja byłam przyczyną pani małżeństwa.

I opowiedziała, że ona to kładła listy, niby od nieboszczyka pochodzące, tam, gdzie je Tekla znajdywała. Przyznała się, że otrzymała za to od don Pedra Fortell kilka uncji *koaku*, téj żółtéj ziemi, któréj murzyni są tak chciwi; przyrzekł jéj także, że skoro plan mu się uda, udaruje ją wolnością. — Ale, dodała, nie, dotrzymał mi słowa, i sprawiedliwie. Ja, niewolnica, oszukałam tak dobrą panią; słusznie więc, że on, zły pan, oszukuje mnie, biédną niewolnicę!

— Ale, rzekła Tekla, te listy były jednak przez mojego Jose pisane; to była jego ręka.

— Ach dobra pani, powiadano mi, że między białemi znajdują się ludzie, którzy umieją wszystkie pisma naśladować, tak jak między negrami są strzelcy, umiejący naśladować głosy wszystkich zwierząt.

— Ale pieczęć i obrączka były w istocie te same, które w grobie mojego męża złożono.

— Ach dobra pani, znałam starą czarownicę, która wykopywała umarłych, aby z ich włosów i ze szpiku ich kości robić rozmaite gusła. Czyliżby za pieniądze nie znalazł się także jakiś biały, coby nieboszczykowi ściągnął z palców pierścienie?

— O Boże! zawołała Tekla; grób mojego biédnego Jose, któregom tak kochała, został zniesławiony! To woła o pomstę!

I w skutku tych wyznań wdowa, nie chcąc żyć dłużéj z mężem, którym pogardzała, zabrała wszystkie owe listy, które starannie była zachowala, i udała się do Alkalda, prosząc o zerwanie jéj małżeństwa.

Sędzia roztrząsnął sprawę, i uznał ją tak ważną, że bez zwłoki kazał winnego uwięzić. Jest to, jak mówił, sprawa *de fuero misto* mieszanego prawa, to jest należąca zarazem do dwóch sądów. Co do unieważnienia małżeństwa odesłał oskarżycielkę do sądu duchownego; natomiast przyjął sprawę pod względem cywilnym

i kryminalnym. Fortell został stawiony przed sądem i badany. Zaczął od zupełnego zaprzeczenia. Oświadczył, że bajeczka, którą mu opowiadają, jest bezwątpienia dziełem jakiéj starej szalonéj murzynki; jest to rzeczą bardzo naturalną, że wdowa posiadająca majątek zaślubia człowieka z równym majątkiem; co się zaś tyczy listów, o których mówią, nie można mu dowieść, że najmniejszy miał w tém udział.

Łatwo pojąć, że ten proces zwrócił powszechną uwagę w mieście Hawannie; nawet na całéj wyspie o niczém inném nie mówiono. Kobiéty, które zawsze są za nadzwyczajnościami, żywo broniły sprawy Fortella, utrzymując, że nie można mu tego poczytywać za zbrodnię, iż nieboszczyk nie miał spokojności w grobie; łatwo można temu uwierzyć, bo przecie mężczyzni są przyzwyczajeni do dręczenia żon swoich, i pewnoby chcieli jeszcze i po śmierci narzucać im swoją wolę. Młodzi ludzie

byli tegoż zdania, ale z innego powodu; zapewniali, że to jest wyborny podstęp, dla uczynienia powolną okrutnéj piękności. Poważniejsi zaś mężowie widzieli tę sprawę z innego stanowiska; uważali w tém fałszerstwo, znieważenie grobu i kradzież poświęconych przedmiotów. Takie też było zdanie sędziego pierwszéj instancji. Przetrząśniono dom Fortella, i znaleziono karniol, który Vasquez miał na palcu, gdy był pochowany. Otworzono grób jego i przekonano się, że trumna była odbitą.

Sąd był zatém o występku Fortella przekonany, i zastosował doń prawo Alfonsa IIgo, potępiające tych, którzy okradają kościół albo cmentarz, niemniéj prawo o fałszerzach. Ale co się najbardziéj podobało kobiétom, to to, że wyrok przypominał prawo, które stanowi: „Aby mężczyzni, oszukujący przez podstęp albo przebiegłość kobiétę, byli chłostą karani.“

Jednakże z powodu dotychczas prawego postępowania winowajcy, został tylko na 200

piastrów kary i na jednoroczne galery skazany.

W téj chwili (1840) sprawa ta jeszcze się rozstrzyga w sądzie królewskim *Puerto Principe.*

# RYBAK.

Na miłym, żyznym nadwiślańskim brzegu,
Stał biédny rybak wyciągając dłonie,
Jakby coś niemi chciał pochwycić w biegu,
A wzrokiem ścigał ku odległéj stronie.
Łzą zaszło oko, pierś wstrzymała tchnienie,
Gdy żal i boleść srodze go dręczyły,
Łkając wyrzekał na swe przeznaczenie,
Bo sieć i łódkę fale pochwyciły.

„O! biédna łódko — z tobą tylko żyłem,
Z tobą szczęśliwy — nie doznałem troski,
Z nadeszłym rankiem do ciebie spieszyłem,
Z tobą płynąłem po żywność do wioski.
Tyś mnie odbiegła, a jam marzył sobie,
Że z tobą starość spędzę kiedyś miłe,
Że mą szczęśliwość będę winien tobie,
Wszak méj opieki doznawałaś tyle.

*
* *

Tyś popłynęła — szczęścieś mi zabrała,
Już dziś innemu pomagasz do życia,
Niech cię szanuje — byś nie ucierpiała,
Niech pielęgnuje — chroni od rozbicia.
Jam już nie młody — łódki już nie skleję,
Ciebiem wychował —a tyś mnie rzuciła.
Z tobą straciłem spokojność, nadzieję,
Ach! wszystkom stracił, boś ty mnie żywiła.

*
* *

Gdy tak stroskany żale swe wywiera,
Gdy już o wszystkiém zwątpił nieszczęśliwy,

Kobiéta, co żal dzieląc, chętnie łzę ociera,
Wzniosła doń głos pociechy, głos przyjaźni
tkliwy:
„Wstrzymaj dobry rybaku twe troski i żala
Ty jeszcze szczęsnym i spokojnym będziesz,
Choć łódź porwały i uniosły fale,
Ty jednak starość szczęśliwą posiędziesz.

*
* *

Ty tracąc łódkę w smutnym jesteś stanie,
Wszak ona martwa — tyś drzewo utracił,
A cóżbyś czynił, gdyby za staranie
Człowiek podobnie tobie się odpłacił?
O! gdybyś kiedy doznał smutku tyle,
Gdybyś poświęcił na to twoje życie,
By nieść pociechę w opłakane chwile,
I hojną dłonią wspierał kogo skrycie;

*
* *

I gdybyś za to żeś cieszył i wspierał,
Żeś i łzę gorzką osuszył, osłodził,
Tak jak od łódki nagrodę odbierał,

Gdyby twe serce taki cios ugodził,
Ach! — wybacz wówczas słabości człowieka,
Ufaj przyjaźni, zaufaj jéj szczerze,
Ona z otwartą dłonią ciebie czeka,
Tam twa poczciwość nagrodę odbierze!

* * *

Lecz znowu łezka oko twoje moczy;
Ach! bądź spokojny, ufaj w szczerość ludzi,
A chociaż boleść duszę twoją tłoczy,
Niechaj to serca twego nie ostudzi.
Pomnij na Boga! — on twą dobroć ceni,
On osłodzi, uwieńczy twe sędziwe lata,
On przykrą dolę w szczęśliwość zamieni,
I twe cnoty przekaże za przykład dla świata!

# SPIS RZECZY

## W TOMIE VII. ZAWARTYCH.